

PRZECLAW SMOLIK

# POD AŁTAJEM

SZKICE Z AZJI

Z KSIĘGOZBIORU  
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

KRAKÓW 1923

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF KRAKÓW — WARSZAWA  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

PAŃSTWOWE  
MUZEUM ZOOLOGICZNE  
BIBLIOTEKA  
Inw. Nr. K.604.

PRZECLAW SMOLIK

# POD AŁTAJEM

SZKICE Z AZJI

Z KSIĘGOZBIORU  
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

KRAKÓW 1923

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF KRAKÓW — WARSZAWA  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

DR. WACŁAW ROZKOWSKI  
& KSIĘGOWNIA

---

Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

## I. NA STEPIE

W porównaniu z tem, co nastąpiło na Syberji w półtora roku później, pociągi chodziły jeszcze w owym czasie, w r. 1918, po głównej zwłaszcza linii syberyjskiej drogi żelaznej, wcale znośnie. Z Tom-ska więc jechałem do Nowo-Nikołajewska jeszcze względnie wygodnie, i gdyby nie rewizje osobistych dokumentów, przeprowadzane na każdej niemal stacji przez patrole ochotniczych oddziałów czeskich i wojsk admirała Kołczaka, — i gdyby nie ustawiczny strach, że moje własne dokumenty, wystawione już po czeskim na Syberji przewrocie przez pierwszy prowizoryczny rząd, niespodobać się mogą temu lub owemu komendantowi patroli, i że wtedy zamiast do celu, do którego zdążałem, przejechać mógłbym się być łatwo do „tury“, a może nawet jeszcze dalej, tam, skąd się już nigdy nie powraca, — gdyby nie ten wieczny strach bezdomnego i bezbronnego zbiega-włóczęgi, to mógłbym być sobie nawet chwalić tę drogę... Po stacjach było jeszcze wszędzie jadła w bród, i to jadła dobrego i taniego, a w wagonach nie odczuwało się ścisku. Znacznie gorzej było z ru-chem na liniach bocznych; i w Nowo-Nikołajewsku wypadło mi czekać przez dzień cały na pociąg, co zawieźć mnie miał na południe w stepowy kraj pod Ałtajem, boczną, t. zw. ałtajską linią kolei żelaznej. A gdy się wreszcie znalazłem w wagonie i przetrwałem zwycięsko, choć z duszą na ramieniu, conajmniej piątą z rzędu rewizję dokumentów osobistych, musiałem jeszcze w dusznym wago-nie czekać pół dnia, zanim wreszcie pociąg ruszył z miejsca. Lecz komu wypadło żyć w Rosji, a zwłaszcza na Syberji, przedewszystkiem zaś w owych pamiętnych czasach, ten wie, że się tam można było nauczyć cierpliwości, jak chyba nigdzie w świecie, gdyż czekać musiał każdy długo i na wszystko, z wyjątkiem jedynie śmierci... Sama zresztą możliwość przejazdu koleją żelazną dwóch tysięcy wiorst, które mi trzeba było przebyć, była tam już wówczas tak wiel-kim szczęściem, że wszelkie niewygody i trudności podczas podróży malały do zera...

Wlokłem się więc pomalutku na południe — w myśl zasady: *festina lente*, — a że i mnie samemu zgoła się nie spieszyło, więc też nie

przeklinałem weale w duchu maszynisty, ale popijałem w wagonie z flegmą „czaj“, odświeżany na każdej stacji mocno słonawym wrzątkiem, i przywykałem w ten sposób powoli, i już zgóry, do uciech, oczekujących mnie gdzieś tam w stepie nad słonecznym jeziorem. Pociąg biegł — czyli raczej włókł się — przez coraz to bardziej bezładne i dzikie obszary, w miarę jak się oddalał od głównej linii kolei syberyjskiej: to faliste, gęstym i starym lasem pokryte, to płaskie i nagie, stepowe, na których zielenił się tu i ówdzie rzadki gaj brzoźowy lub większe i mniejsze łąchy jezior lśniły w słońcu, jak srebrne tarcze.

Wreszcie czwartego dnia wczesnym rankiem dobiłem do celu podróży, do maleńkiej stacyjki w stepie. Poza sobą zostawiłem dwa tysiące wiorst przestrzeni.

\*

W kilka godzin później siedziałem, czyli raczej leżałem, w upieczonym z brzoźowych wicin koszyku, położonym na kilku drążkach, wprost na osiach opartych, czyli w t. zw. tarantasie, zaprzężonym w dwa silne i rażne konie, i ruszyłem w step... Właściciel ekwipażu siedział przedemną w ten sposób, że zgięte kolana dotykały mu niemal podbródka, a nogi, wyrzucone poza koszyk, zwisały swobodnie. Był to jasnowłosek, poważny syberyjski „muzyk“, który, gdy mi go na stacji polecono jako tego, co jedzie w tę samą stronę, gdzie mnie skierować się wypadało, i wziąć mnie może z sobą, obejrzał mnie podejrzliwie od stóp do głowy i na moje zapytanie, czy godzi się zabrać mnie, odrzekł:

— Ano cóż, można...

Gdy się wreszcie w koszyku wraz z tobołkami ułożyłem, muzyk syknął po syberyjsku na konie i, zwracając twarz ku mnie, zapytał:

— A ty kto taki będziesz?...

Objasniłem mu moje „personalja“ i zawiązała się rozmowa, przeważnie polityczna, o rewolucji, Czechach, syberyjskim rządzie Kołczaka<sup>1)</sup>... Chłop był w słowach ostrożny i chwalił wszystkich, co w danej chwili byli u władzy, lecz z niedomówień pewnych, z wymuszonego sposobu chwalby wiała nieszczerłość i nieufność do nowych władz i panujących porządków. Od czasu do czasu milknął i wdychając, machał ręką zniechęcony...

Było to w połowie sierpnia i upał już z samego ranka dawał się dobrze we znaki. Na uprawnych częściach stepu tylko co rozpo-

<sup>1)</sup> Rząd admirała Kołczaka był zrazu tylko „syberyjski“. Dopiero nieco później zamianował się „wszechrosyjskim“ rządem.

często zbiory i porozrzucane zrzadka na wielowiorstwowym przestrzeniach „zaimki“, czyli chłopskie folwarki, roily się od pracujących przy żniwie, a tu i ówdzie już i przy młóccc ludzi. Pomiędzy zaimkami, na odłogiem leżących, jałowych przestrzeniach stepu, pokrytych żółką, do cna spaloną przez słońce trawą i kępami wysokich, srebrzystych bodjaków, błądziły gromadki po kilka i kilkanaście sztuk bydła, skubiącego zeschłe badyle... Lecz tam, gdzie czarną jak węgiel, żyzną ziemię poruszył pługiem pracowity pionier tych bezbrzeżnych stepów, osadnik rosyjski, tam zmienia się jałowy step w niedające się ogarnąć okiem łany pszenicy, o kłosach bujnych, ciężkich, barwy miedzianej, a nierzadko intensywnie czarnej<sup>1)</sup>, jakgdyby śniedzią dotkniętych. Tu i tam już się wrzynają w ten skarb dojrzały błyszczące z daleka w słońcu szerokie amerykańskie żniwiarki, zaprzężnięte w cztery lub sześć jednym szeregiem idących koni, i kładą na ziemię pokotem szumiące zboże. Metaliczny szczęk żniwiarek i pokrzykiwania na konie kierującego maszyną oraz zaprzęgiem chłopa rozchodzą się daleko po polach i skłaniają chwilami do zapomnienia o tem, że to kirgiskie stepy w Azji, po których jeszcze pół wieku temu uganiały swobodnie tabuny półdzikich koni i gdzie czarne wojłoczne jurty Kirgizów były jedynym dokumentem ludzkiego tutaj istnienia<sup>2)</sup>. A dziś — łany pszenicy, amerykańskie pługi i żniwiarki, linja kolei żelaznej za plecami, rewolucja, sowiety i kontrrewolucja...

Jedziemy drogą, której szerokość świadczy wymownie o rozległości kraju, o rzadkości zaludnienia, a zarazem o szerokiej naturze tutejszego osadnika: bierz ziemi, ile uprawić zdołasz, żyj jak chcesz, i jedź, którądy ci wygodniej, lub też, którądy ci się spodoba. I na

<sup>1)</sup> Osobliwy gatunek czarnej pszenicy, pochodzący, jak mnie objaśniano, z Ameryki.

<sup>2)</sup> Rufin Piotrowski, zesłany do ciężkich robót na Syberji w latach 1845 i 46, tak opisuje w swoim *Pamiętniku z pobytu na Syberji*, wydanym w r. 1860 przez księgarnię Żupańskiego w Poznaniu, tę właśnie część Syberji: „Południowa Syberja, do której zaliczam całą przestrzeń stepów kirgiskich, gdzie lato zbyt znojne, a zimą wielkie panują zawieje, wznosi się po obu stronach pochyłości przedłużenia gór Sajańskich (odnoga gór Ałtajskich), w większej zaś nierównie części na stronie południowej niż północnej. Całą tę przestrzeń, bez miast, wsi i dróg, osiedloną gdzieniegdzie koczownicami Kirgizów, które się tam nazywają aulami, niestałemi i błędniemi, jak ich mieszkańcy, można nazwać wielką pustynią, nie mającą rzek, tylko pokrytą zdala od siebie jeziorami po większej części słonej wody. Tu bardzo mało lasów i to niewielkich, a w czasie upałów trudno znaleźć cienia. Nie mogłem powziąć dokładnego wyobrażenia o tej części Syberji, a szczególnie o jej płodach; wiem tylko z pewnością, że na tych stepach rośnie lukrecja, którą gdy na nich zbłąkani i pozbawieni (strawy) jeść zaczęą, dostają puchliny całego ciała i muszą umierać“.

nieokreślonej przestrzeni drogi tyle biegnie równoległe do siebie kolein, ile chyba wozów od wiosny tędy przejechało. Tylko kępki rzadkich krzaczków usiłują nieśmiało od miejsca do miejsca zakreślić drodze granice, osobliwie tam, gdzie łąn pszenicy do niej dochodzi, i narzucić słaby ten hamulec nieokiełzanej naturze sybiraka, nie lubiącego wąskich i utartych dróg ni w sposobie myślenia, ni życia, ni w wierze, zabawie, ni w drodze do celu...

Po dwóch zgórą godzinach wędrówki po płaskim jak stół stepie dojeżdżamy do wyniosłości, która niby duży garb rozłożyła się na kilkunastostopowej przestrzeni. U stóp garbu studnia z żórawiem i z szerokim korytem dla pojenia była i koni. Że to już prawie połowa drogi za nami, przeto mój sybirak przystaje u studni i zabiera się do odprzegania koni. Więc postój... Wyłazę z koszyka, z lubością przeciągam zdrętwiałe członki i ruszam *per pedes* na garb, licząc, że postój nasz potrwa nie mniej, jak syberyjską „godzinę”. Garb jest w całości piaszczysty, a szeroki i goły jego grzbiet pokryty lejko-watemi zakłęśnięciami i jamami, niby wrzodami i bliznami. Tu i ówdzie sterczy z zagłębienia wątku brzośka, młoda jodełka lub świerk, kępka krzaków lub srebrzysto-szary pień po ściętej niegdyś jodle czy sośnie. Widocznie musiał tu być las kilka dziesiątków lat wstecz. Dziś pusto dokoła, dziko i niesamowicie. Po drugiej stronie garbu droga spada zeń stromo znów na płaski step, którego horyzont daleki zamyka ciemnofioletowa smuga, szerokim biegnąca łukiem. Nad smugą niebo jakgdyby nieco bledsze i jaśniejsze... Już dobrą chwilę siedzę na brzegu drogi, gdy wreszcie nadjeżdża mój „muzyk” z tarrantasem i spuszcza się teraz z garbu na łeb, na szyję w step. Chłop pokazuje mi biczem ową ciemną smugę:

— Oto bór, a hen wśród boru jezioro...

— Tu był las?... — zapytuję go, wskazując na garb, za nami już w pyle drogi ginący.

— A był... Ładny był las, od ludzkiej niepamięci... Że to był las chłopski, to mu muzyki nie podarowali, ścięli. Od tego czasu straszy tu nocą, — duch jakiś pokutujący, mówią... Wiatr hula po garbie i ciska piaskiem na pola.

Jeszcze dwie godziny drogi i dojeżdżamy do wsi, rozsiadłej nad brzegiem wielkiego jeziora, którego sam zwięzający się koniec, niby ogon olbrzymiego karpia, wysuwa się z głębi wielkiego boru i urywa się tuż za wsią. Wieś ogromna, ponad osiem tysięcy mieszkańców licząca, wyciągnęła się wśród gołego i jałowego stepu w dwa nieskończenie długie rzędy chat, między którymi przebiega główny trakt. Gościniec wpada pośrodku wsi na rozległy plac, na którym zieleni



się mała, drewniana, na biało i zielono wylakierowana cerkiewka. Po przeciwnej od drogi stronie placu — plebanja, nieco dalej — szkółka. Gdyby nie biały napis na czarnej desce, zawieszonej ponad drzwiami, trudno byłoby odgadnąć, że to szkoła, tak niedbale utrzymana i tak nędzne domostwo. Zato plebanja, — biały, o dużych oknach i wieńcem jedynych we wsi drzew otoczony, okazały dworek, — świadczy dobrze, z pozoru przynajmniej, o dbałości, jaką trzódka otacza zdrowie i pogodę umysłu pasterza, jeśli nie o energii i gospodarskim sprycie jego samego.

Wieś szara, niczem step, bezpośrednio ją otaczający, nie urodzajny lub dawno już wyczerpany i spalony przez słońce — jako jedyne urozmaicenie ma po jednej stronie głęboki parów z cienką strugą brudnej rzeczki i zwartą, ciemną ścianę starego boru, biegnącą ponad parowem równoległe z traktem i potokiem. Chaty stoją przeważnie bokiem do drogi, jakgdyby się wstydziły swych brudnych, pokrzywionych i odrapanych fizjognomij, powybijanych i brudnymi szmatami pozatykanych okien. Wraz z przylegającymi do nich bezpośrednio nędznymi budynkami gospodarskimi, skleconymi niedbale i pospiesznie z łąt, żerdzi i gałęzi, obmazanych gliną, — wraz z kupami śmieci, z drogą pylną, zaśmieconą odpadkami i nawozem, tworzy ten nieskończenie długi szereg chat, bliźniaczo do siebie podobnych, przygnębiająco jednostajną, szarą masę. Nigdzie ni drzewa, ni krzaka, ni kwiatu przed domem lub w oknie. Tylko gdzieniegdzie wśród niskiego z łąt lub chrustu ogrodzenia wysokie i ozdobnie rzeżane wrota z ciosowych belek rzucają się w oczy nowością i bezcelową, pretensjonalną monumentalnością. Pod każdym niemal obejściem cała góra świeżego zrębu zajmuje nieraz bezceremonialnie jedną trzecią, a czasem i połowę szerokości traktu. Tu i ówdzie nowe ogrodzenie z potężnych belek przy starej, małej i brudnej chałupinie, obok nędznych budynków z chrustu. Tu i ówdzie wyrwa się z szarej masy dom nowy, wysoki, okazały, ciosowy, pokryty błyszczącym zdaleka, cynkowym dachem.

— A skądże to we wsi tej tyle świeżego ciosu, i na co to?... — pytam mego woźnicę, wskazując na nowe, wysokie ogrodzenia, na monumentalne wrota i stopy belek...

— Ano rewolucja, wolność, to i muzyk wziął, co mu się ta pa-trzyło... Przyda się przecie: chaty stare już, małe i liche, po kilka małżeństw w jednej izdebce. Będzie ludziskom przestronniej. Co prawda, to nie pożałował naród lasu, nie pożałował... Czy trzeba było komu, czy nie, to rąbał, co mu ta pod siekierę podpadło. He, he, he! Jakie to wrota: niczem przy cerkwi!

I chłop z widoczną zazdrością spozierał po białych wierzejach i zagrodach.

— A u was to lasu niema?

— Eh, nasza wieś daleko od boru... Tutejsi nie puszczają, mało co udziela. A w Jegorówce, o siedm stąd wiorst, to się chłopci w jednym roku tak dobrze z lasem sprawili, że i mało co z niego zostało i pola piaskiem na dobre zanosić im zaczyna! Do cna ich chyba zasypie. A mówili starzy, by tego lasu, co bliżej wsi, nie tępili. Nie posłuchali...

Stary, potężny bór towarzyszy nam wciąż z drugiej strony parowu, o pół wiorsty od traktu, ciemną, zwartą ścianą...

— Jakże to? — mówię do chłopca. — Toż boru tego starczyłoby mogło dla dwóch lub trzech jeszcze pokoleń na chaty, ambary<sup>1)</sup> i wrota...

— Sprawiedliwie... Tylko że Jegorowczanom nie chciało się jeździć po zrąb dalej, wiorst kilka w głąb boru. Żal im było koni i miętręgi, więc rąbali las pod samą wsią, że to blisko, ot, jakby tutaj... I tutaj też miejscowi zrąbali niemało, tylko ubytków nie znać, bo las gęstszy, starszy i głębszy, niż pod Jegorówką. I wygolili tam do czysta, do gołego piasku. A przy tym nowym rządzie — Kołczaka — każą pono chłopom nietylko za cały ten zrąb zapłacić, ale i sztraf nałożyć mają, że to bez papiera<sup>2)</sup> rąbali. Ot, bieda jaka...

— A czyżże to las?...

— A ktoby tam teraz rozumiał, czyj on z prawa! Był dawniej rządowy, carski, a gdy cara nie stało, przez tę niby rewolucję, to naród zrozumiał, że on teraz do niego prawo ma, że on w lesie gospodarz. A teraz, mówią, płacić za zrąb trzeba, jak dawniej. Jakże to tak?... Boski on przecie, las ten, i temu do niego prawo, komu ciosu trzeba. A ty sam — jak myślisz?...

— Jeśli naród tutejszy uważał las za swój, to go powinien był przecie tembardziej szanować...

— Juści prawda... Rzecz w tem, że naród bał się, że to tego panowania naszego nie na długo, że i car wrócić jutro może, a z carem — carskie prawo i porządki. To i rąbał, kto ręce zdrowe miał. Wiadomo: naród ciemny, pisma nie zna... A jakże to będzie dalej? Mówią u nas, że cara te Czechy i Kołczak z powrotem na tronie chcą posadzić?...

Gawędząc tak, minęliśmy wieś, o tej porze roku prawie bezludną. Wszystko, co zdrowe i do pracy zdolne, wynosi się wiosną ze

<sup>1)</sup> Ambary — śpichlerze.

<sup>2)</sup> Bez papiera — bez pozwolenia.

wsi w step, na „zaimki“ czyli folwarki, do pracy polnej — wraz z całym inwentarzem martwym i żywym i powraca tuż przed samą zimą. Tylko starzy i chorzy pozostają w zagrodach przez lato i radzą sobie, jak mogą.

Przejeżdżamy poza wsią mimo pokaźnego obszaru, zawałonego górami nawozu i śmieci. Tu i ówdzie czerep koński lub bydlęcy bieli się w słońcu i włóczące się psy wyciągają z pod gnoju krwawe strzępy świeżej padliny.

— Czyżże to nawóz?... — pytam chłopca.

— Jakto — czyj? Cała wieś tutaj wywozi.

— A czemuż pola pod uprawę nawożą?

— He, he, he! — śmieje się muzyk szeroko. — Poznać, żeś nie sybirak! U nas pola się nie nawozi; nawóz spaliłby zasiew i nicby się nie urodziło! Byli tu tacy, z nowosiołów<sup>1)</sup>, co po rosyjsku, po waszemu, nawozić próbowali. I starym sybirakom wierzyć nie chcieli, aż się sami przekonali. A z nawozu to naród u nas kiziak<sup>2)</sup> wyrabia; tańszy był zawsze od drzewa...

— I najlepsza ziemia jałowiej z czasem bez nawozu — upieram się przy swoim. — Jakżeż wtedy?...

— A to się ją zostawia odłogiem na tak długo, aż się poprawi. Zresztą ziemi tu u nas jeszcze, Bogu dzięki, dość...

— Ileż tu ziemi wypada na rodzinę?

— To zależy od ilości głów w rodzinie. Są rodziny, co mają po sto i dwieście dziesięcin<sup>3)</sup>...

— I uprawiają wszystko?...

— Gdzieżby tam! Nawet połowy nie obsiewają! Mało kto uprawia ponad czterdzieści — piędziesiąt dziesięcin... Chleba dość; u niektórych z kilku lat ziarno leży w ambarach...

Zjeżdżamy z traktu na boczną drogę w głęboki parów, oddzielający wieś od boru, po wąskiej grobli, utworzonej z gałęzi, przysypanych z wierzchu cienką warstwą ziemi; przejeżdżamy potok i wydostawszy się szczęśliwie, czyli bez skrzywienia karku, na równie stromy brzeg przeciwny, jedziemy dalej krajem lasu.

Posuwamy się teraz powoli wąską piaszczystą drożyną, zaledwie słabo zaznaczoną śladem kół na piasku, w którym koła naszego pojazdu grzęzną po same osie. Wysokie jodły i sosny, podszyte z dołu grabiną i olszyną, rzucają głęboki cień na drogę. Po wielo-

<sup>1)</sup> Nowosioły — nowoosiedleni, nowoprzybyli na Syberję z Rosji.

<sup>2)</sup> Kiziak — nawóz bydlęcy pomieszany ze słomą i z małą domieszką ziemi, wysuszony w formie cegieł, służy w Stepowym Kraju za materiał opałowy.

<sup>3)</sup> Dziesięcina — 2 morgi.

godzinnej jeździe przez odkryty step w spiekocie i pyłe, po brudach wsi i zapachach zbiornika nawozu i padliny, wciągając w pierś z rozkoszą chłodne i pachnące żywicą powietrze lasu.

Po półgodzinnym powolnym posuwaniu się przez las poczyna przedzierać się ku nam skrós drzew jarzący się w słońcu blask, a jeszcze za chwilę otwiera się przed nami wolna przestrzeń, niby olbrzymia misa, pokryta drgającą, srebrną łuską... To Łabędzie Jezioro.

## II. KOOPERATYWA PRACY NAD ŁABĘDZIEM JEZIOREM

Pomysł stworzenia kooperatywnego zdrojowiska nad Łabędziem Jeziorom w Stepowym Kraju pod Altajem urodził się w niespokojnej głowie Mikołaja Pawłowicza Litwinowa w pierwszym roku Wielkiej Rosyjskiej Rewolucji. Miało to być zdrojowisko, oparte na kooperacji pracy i odpowiednio do tego nadał Mikołaj Pawłowicz Litwinow zorganizowanemu przez siebie towarzystwu nazwę *Trudokurort* czyli „zrojowisko pracy“.

W chwili, kiedy Mikołaja Pawłowicza na gruncie *Trudokurortu* poznałem, był on jeszcze faktycznym właścicielem, ściśle zaś: mężem właścicielki jedynej w mieście Nowo-Nikołajewsku drukarni i księgarni. Opowiadano mi o nim, że na Syberji pojawił się tuż po wojnie rosyjsko-japońskiej, jako biedny zdemobilizowany felczer wojskowy. Osiadł w Nowo-Nikołajewsku i ożenił się z zamożną dziewczką księgarni wraz z drukarnią. Ożenek ten pozwolił mu odtąd zażywać wśród obywateli Nowo-Nikołajewska opinii — „postępowego i z nieco gorącą głową fantasty“. Mikołaj Pawłowicz cierpiał chronicznie na zgoła niezwykłą i dziwaczną na Syberji słabość — zresztą nieszkodliwą — pisania i ogłaszania własnych i cudzych, jak się sam o tem przekonałem, wielce marnych wierszydeł. Tej to słabości zawdzięczał zapewne opinię wyżej już przezemnie wymienioną. Redagował też i wydawał w Nowo-Nikołajewsku przez czas dłuższy bezbarwne pisemko, na stały brak abonentów chorujące; zasiadał jako ławnik w miejscowej dumie miejskiej; prezydował przez wiele lat Nowo-Nikołajewskiej ochotniczej straży pożarnej; a w wydawanych własnym nakładem broszurach projektował nie mające się się nigdy urzeczywistnić osobliwe ekspedycje w góry Altaj, oraz propagował na Syberji hodowlę szlachetnych gatunków drzew owocowych, co mu już dobrej sławy wśród trzeźwych sybiraków przyczynić nie mogło. Tomy poezyj i broszury miałem sposobność czytać, gdyż mi ich Mikołaj Pawłowicz Litwinow, własnoręcznie opatrzonych dedykacją, ofiarować nie omieszkał... Jak więc już z tego czytelnik wywnioskować powinien, wiódł Mikołaj Pawłowicz żywot czynny

i przeciętnego europejczyka godny. W okresie, w którym go poznałem, liczył już sobie pięćdziesiąty trzeci rok życia. Rewolucja odkryła przed tym byłym felczerem, wierszorobem, księgarzem, wydawcą, drukarzem, działaczem i odkrywcą w jednej osobie — nowe perspektywy, zapłodniła go, jak to łatwo można było już z góry przewidzieć, nowymi ideami, planami i pomysłami, dzięki czemu i ja, rzucony przez los w podałtajskie stopy, miałem szczęśliwą sposobność poznania osobistego Mikołaja Pawłowicza Litwinowa, założyciela i naczelnego dyrektora kooperatywnego towarzystwa *Trudokurort* nad Łabędziem Jeziorem. I ten to właśnie *Trudokurort*, dzieło Mikołaja Pawłowicza Litwinowa, a raczej jedna karta z jego dziejów, której byłem świadkiem, a do pewnego stopnia i aktorem, będzie przedmiotem mego szkicu.

\*

Wśród starego boru lśni i mieni się srebrem i lazurem ogromne Łabędzie Jezioro, niby olbrzymia misa, wypełniona po sam brzeg, zielonym wieńcem drzew okolony, niespokojną, wiecznie ruchliwą i połyskliwą rtęcią... Jezioro zajmuje powierzchnię kilkunastu kilometrów kwadratowych i przeciwległy jego kraniec gubi się w bladoszarym, opalowym тумanie. Tylko ciemna linja otaczającego je zewsząd boru wyrywa się z mgły, jakgdyby w oddali niepewną nakreślona ręka. Tu i ówdzie szeroka łacha nabrzeżnego piasku — nazwana przez Mikołaja Pawłowicza szumnie „plażą“, odcina się od ciemnej masy boru i szaro-srebrzystej barwy wód jasno-żółtą plamą i rozplywa się dalej wśród nadbrzeżnych zarośli. W pewnym miejscu goły i piaszczysty brzeg jeziora wrzyna się w głąb lasu szeroką polaną.

Gdyby nie stały niepokój powierzchni wód jeziora, zawsze zmarszczonej i drżącej, gdyby nie rytmiczny szum i plusk nadbiegających na przybrzeżny piasek drobnych fal, martwym możnaby nazwać to ogromne, przepiękne jezioro...

Jednostajnego szumu fal, zlewającego się z szelestem boru, nie urozmaica świągotni krzyk wodnego ptactwa, ani plusk rzucającej się za zdobyczą ryby; na jednostajnie lazuruowo-srebrnej wodzie nie zieleni się nigdzie ni jeden smukły liść szuwaru, ni jakakolwiek inna z wodnych roślin nie rzuca cienia na błyszczącą powierzchnię. Jedyne życie jeziora jest ciche drżenie jego wód; jedynym głosem — szum i plusk drobnych fal; jedyną barwą — lazuruowo-srebrna powierzchnia fali, odbijającej niebo... Smak wody jeziora gorzko-słony objaśnia tajemnicę jego martwej piękności,

tej samej, którą pyszni się posąg marmurowy, błyszczący zapożyczonem życiem.

Wśród piaszczystej polany, nieco bliżej krawędzi wód jeziora niż brzegu lasu, stoi na piasku wielki, płócienny namiot, podobny kształtem do wojskowego lub kolejowego baraku. Opodal niego sterczy wysokie rusztowanie z trzech, skrzyżowanych u góry belek; od szczytu wiązania spuszcza się ku ziemi w czarny otwór, żelazny świder. Nieco dalej od brzegu jeziora, a bliżej lasu, bieli się na tejże polanie mały drewniany domek bez dachu. Jeszcze bliżej boru, a także wśród pierwszych drzew, rzucają się w oczy jasne plamy kilkunastu płóciennych namiotów, zwykłego wojskowego typu. Tu i ówdzie wśród lasu i namiotów leżą porozrzucane kawałki desek, belki, narzędzia ciesielskie i stosy chrustu. Jest wczesny, chłodny poranek sierpniowy. Przed tym i owym namiotem kładzie się jeszcze wątła smuga dymu z czarnego i przygasłego ogniska. W namiotach i wkoło nich panuje głęboka cisza, przerywana tylko czasem gwałtownym atakiem kaszlu, dobywającego się z pod płóciennych ścian. Kaszel staje się coraz częstszy i słyhać go naraz z kilku stron, a równocześnie z nim głośne poziewania i postękiwania. Mieszkańcy budzą się widocznie ze snu. Z wnętrza tego i owego namiotu poczynają wysuwać się stare i młode kobiety, na pół przyodziane, jak wstały z pościeli, w koszulach, zsuwających się im z nagich ramion, z rozpuszczonemi i rozrzuconemi po plecach włosami, w których jeszcze tkwi pierze i źdźbła słomy, — ta i owa z samowarem w rękach. Obóz poczyną się z minuty na minutę coraz bardziej ożywiać. Każda z kobiet, przykucnąwszy przy ognisku dmucha pod świeżo przyrzucony chrust i usiłuje ożywić przygasłe w ciągu nocy zarzewie. Inne, okrywszy się na prędcę chustą, pędzą z dzbankiem lub wiadrem po wodę w głąb lasu. Przez drzewa i krzaki migają ich gołe łydki i ramiona i biała koszula na plecach. Obóz dzwiga się żwawo na nogi.

Z dwóch namiotów, stojących tuż przy sobie, wysuwają się prawie równocześnie z pod płótna, zasłaniającego wejście, dwaj mężczyźni. Obaj tylko napół ubrani, w spodniach i koszulach, boso. Jeden z nich barczysty, gruby, o twarzy szerokiej i pełnej, z małeńkimi oczkami wśród obrzękłych od snu powiek, z sinoczerwonym i bezkształtnym nosem, co niby napół dojrzała śliwa utkwilł przy padkiem wśród pełnych, nabrzmiąłych policzków. Drugi chudy, drobny i zawiędły, nieokreślonego wieku, o twarzy szarej, chorobliwie skrzywionej, kwaśnej.

— Dzień dobry, pułkowniku — rozpoczyna rozmowę grubas.

— Jaki tam dobry! Ranki coraz to chłodniejsze, a my żyć musimy w namiotach. Dzieci mi się pochorują, a mnie samego już po kościach łamać zaczyna...

— Pono Mikołaj Pawłowicz przyjechał w nocy?...

— Ano przyjechał... I cóż z tego?... Niech go wszyscy djabli! Już mam dość tej zabawy! Jeszcze tydzień, dwa, i w namiocie nawet pies, nie to człowiek, nie wytrzyma!

— Zobaczymy, co Mikołaj Pawłowicz przywiózł i co nam nowego powie...

— A co on tam mógł przywieźć! Już takich głupich, jak myśmy byli, teraz nie znajdzie! Co mógł z ludzi wyciągnąć, to już wyciągnął. A co nam powie, to wiadomo: wielkie plany, obietnice, fantazje, bajki! Gadać to on umie, tylko, że gębą zdrojowiska nie wybudujesz! Na to trzeba i głowy i pieniędzy...

— Po kiego licha on tu tego zagranicznego doktora sprowadził?... Że też się on zgodził żyć pod namiotem!

— Z jeńców podobno... Poco go sprowadził? A chyba poto, żeby sypać ludziom piaskiem w oczy, że zdrojowisko już w ruchu, bo doktor jest! A zresztą, czy on sam wie, co robi? Jeśli myśli, że się mu uda złapać kogokolwiek na zagranicznego doktora, to się grubo myli!..

— Ot, w czem sztuka! Chytro! — zaśmiał się grubas i przykucnąwszy nad ogniskiem, dmuchać począł, wydymając przytem śmiesznie tłuste, czerwone policzki. Płomień buchnął i migiem ogarnął narzuconą na ognisko garść chrustu.

— Agafja! Agafja! — krzyknął grubas do wnętrza namiotu. — Dawaj tu samowar, ogień już jest!

— A cóżeś to głupcze zrobił! Cóż ci z ognia, kiedy wody nie mam ani kropli! Dopiero się zbieram iść po wodę...

Obóz zawrzał tymczasem pełnem, codziennem życiem. Z wnętrza namiotów słyhać donośny krzyk kobiet i płacz dzieci. Przed namiotami rąbią drzewo, nastawiają samowary, odziewają się, kłócą i rozprawiają. Na stolikach, zbitych z prostych, nieheblowanych tarcic, poustawianych pomiędzy namiotami, kobiety rozkładają naczynia i niektóre z rodzin już zasiadają na ławkach do śniadania. Na każdym stole błyszczą pękaty, miedziany samowar, niby wielki złocisty bąk, syczący i buchający dymem i parą.

Przy niektórych namiotach umywają się jeszcze, nie krępując się wcale wzajemnie, kobiety tuż obok mężczyzn, pochylone nisko nad ziemią, w spodnicach tylko i koszulach, z pod których wypły-

wają przy nachylaniu się i ruchach zużyte, obwisłe piersi, niby fale półpłynnego, białego ciasta.

Naraz, gdzieś w pobliżu, zahuczał donośny, dźwięczny głos spiżowego gonga.

— Oho! komu się to dziś tak spieszy! — zabrzmiał krzykliwe głos kobiety, piorącej jakieś szmaty w cebrzyku przy jednym z namiotów.

— Nie wiecie to, że Mikołaj Pawłowicz przyjechał? — odpowiedziała jej druga, obcierająca mokrą po umyciu się twarz szarym od brudu ręcznikiem.

— A mnie co do tego! Niech mojego głowa o to boli! Powiedziałam wczoraj mojemu: jeśli do dwóch tygodni nie będziemy pod dachem, to go rzucę i sama stąd z dziećmi wyjadę do miasta!

— Coś tam przecie dłubią przy tym baraku, co ma być na zimę gotowy — twierdziła uspokajająco druga. — Mój mi wczoraj mówił, że jeśli mu tylko dodadzą dobrego pomocnika, a murarz z piecami i stolarz z drzwiami i oknami na czas będą gotowi, to się będziemy mogli do baraka za dwa tygodnie sprowadzić.

— Wszystko to puste godanie! Niczemu już dziś nie wierzę! A gdy o zimie pomyślę, to mnie strach zdejmuje!

Od namiotów poczynają zdązać jeden po drugim mężczyźni — w stronę, skąd zabrzmiał głos gonga. Idą, nie spiesząc się, przystając i gawędząc.

Z białego domku bez dachu, stojącego pośród polany, wychodzi wysoki, tęgą mężczyzna, z twarzą szeroką, okoloną ciemno-blond brodą. Przy jego boku toczy się tęga kobieta, odziana z widocznym, choć rażąco nieudalnym staraniem o szyk; idzie, kołysząc się w biodrach i wypinając bujne piersi. Z przesadnym ożywieniem, śmiejąc się krzykliwe i często, rozmawia z swym barczystym i brodatym towarzyszem i widocznie każdym ruchem uwagę jego zwrócić wyłącznie na siebie usiłuje.

Przechodzący mimo brodacza mężczyźni przystają i uchylając kapeluszków, witają się z nim:

— Witajcie, Mikołaju Pawłowiczu! Szczęśliwego przyjazdu.

— Witajcie! — odpowiada brodacz i wyciąga do uścisku rękę. — Jak żyjecie? Co nowego?...

— Chłodno — — Pod namiotem mrozić zaczyna... — twierdzi ten i ów z witających się.

— Co wy?... Żartujecie! Jakie tam zimno! Jeszcze lato przecie, sierpień — utrzymuje Mikołaj Pawłowicz.

— W Rosji to jeszcze lato, tylko nie na Syberji — przypomina jeden z idących.



Polana, na której stoi wielki namiot i domek bez dachu, zwięża się i lekko obniża ku drodze, biegnącej przez las, a doszedłszy do niej, rozszerza się znów i ginie w głębi boru. Na brzegu polany, prawie przy samej drodze, idący mijają stos świeżego zrębu, a obok, pod obrywem u brzegu lasu, kilka jam, wygrzebanych w piaszczystym gruncie. Nieco niżej i bliżej zwartej ściany boru stoi kilka długich stołów, osłoniętych z góry przed deszczem dachem z tarcic, opartym na wbitych w ziemię słupach. To jadalnia kooperatorów. Jeszcze dalej, wzdłuż boru, wyrwa się z ciemnego leśnego tła czerwona ściana z nieotynkowanej cegły długiego i niskiego budynku, w części murowanego, w części zaś skleconego z desek i chrustu, zaprawionego gliną. To kuchnia i magazyn. Polanka tworzy w tem miejscu zamkniętą przestrzeń w rodzaju wąskiego dziedzińca, który z jednej strony ogranicza ściana boru i tylko co opisane budynki, z drugiej zaś strony — gęsty, brzozowy gaj. Na brzegu gaju czerni się wejście do głębokiej, wykopanej w ziemi i osłoniętej z góry dachem jamy. Jama wycembrowana wewnątrz drzewem, a dach z belek i chrustu, przysypany z góry ziemią. To zimowa sypialnia kooperatorów. Nieco dalej poza jamą jest jeszcze „studnia“, czyli dziura, wygrzebana w ziemi i napełniona do połowy żółtawo-szarą, brudną cieczą. Na dziedzińcu stoi szereg wozów gospodarskich i wózków, wala się kilka połamanych bron i plugów i panuje żywy ruch, w bezpośredniej zwłaszcza obu budynków bliskości. Kręci się tu kilka kobiet i gromadka dzieci, wałęsa się kilkoro cieląt i maciora z kilkunastu nieodstępującemi jej prosiętami tarza się w kałuży u samych drzwi kuchni, pochrząkując z błogością. Młody człowiek w wojskowym frenczu z szarego, grubego sukna, z łydkami, spowitemi w bandażę z tegoż co frencz materiału, zaprzęga do jednego z wozów przeraźliwie chudego konia. Klnie przytem grubo a głośno i popycha nędzną szkapę, która przy każdym potrąceniu chwieje się na drżących i poranionych nogach.

Mikołaj Pawłowicz zasiada wraz z swą towarzyszką przy jednym ze stołów. Za jego przykładem zajmują miejsca inni, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, przy pierwszym stole i dwu dalszych.

Jesteśmy w gronie kooperatywnego towarzystwa budowy zdrojowiska nad Łabędziem Jeziorem, czyli *Trudokurortu*.

Założyciela i zarazem kierownika przedsięwzięcia, Mikołaja Pawłowicza Litwinowa, czytelnicy już znają. Młoda kobieta, która pojawiła się wraz z nim u stołu, to sekretarka towarzystwa. Obok siedząca, niska i krągła jak kluska dziewczyna, jest magazynierką. Nieco dalej zajął miejsce przy pierwszym stole pulchny i różowy

jegomość, z gładko wygoloną twarzą, w suto wyszywanej, jedwabnej i po rosyjsku na spodnie spuszczonej koszuli; to Walerjan Wasylicz Żerebcow, główny buchalter, przed rewolucją właściciel parowego młyna w Nowo-Nikołajewsku. Przy nim zasiadł wysoki i chudy mężczyzna, z twarzą obrosłą gęstą czarną brodą: — główny technik *Trudokurortu*, z zawodu geometra bez dyplomu. Na końcu stołu siedzi barczysty, dostatnio i po miejsku ubrany wicedyrektor zdrojowiska, Gruździew, były kupiec herbata. Tak tych, jak i wszystkich innych, którzy obsiedli stoły „jadalni“ i z wyczekującą miną spozierają na Mikołaja Pawłowicza, złączyła wcale nie idea wspólnej pracy i budowy dla dobra bliźnich zdrojowiska, ale wspólny strach o resztę uciulanego przed rewolucją grosza i wspólna niedola...

Niektórzy z nich, jak podpułkownik intendatury Zarzycki, dyrektor wykreślonych na planie „ogrodów zdrojowiska“, to oficerowie z zniszczonej przez rewolucję armji carskiej; inni — to drobni kupcy, drobni przemysłowcy lub urzędnicy, wykolejeni przez groźną burzę. Każdy z nich uchwycił się tej wątlej nadziei ocalenia resztki mienia i zabezpieczenia sobie i rodzinie jutra, którą błysnął im przed oczami wymowny Mikołaj Pawłowicz. Niektórzy bawią tu już od roku, więc od pierwszej chwili zawiązania się towarzystwa; inni przybyli z wiosną, wysprzedawszy ruchomości i puste półki swych magazynów lub sklepików; są i tacy, co zjawili się przed kilku tygodniami. Było ich tu o wiele więcej, zwłaszcza wysadzonych z siodła oficerów z carskiej armji — młodych, zdrowych i silnych; lecz ci, zniecierpliwieni oczekiwaniem na cud i nie związani niczem, zbiegli stąd na pierwszą wieść o czeskim powstaniu na Syberji, do formującej się armji admirała Kołczaka. Pozostali, obarczeni rodziną i związani z przedsięwzięciem umieszczoną w niem resztką mienia, oczekują spełnienia obietnic i zapowiedzi, uczynionych im przez bogatego w wyobraźnię poetę-felczera, i pełni już dziś niewiary, przeklinają coraz głośniejszą własną łatwowierność.

Przed zamyślnym głęboko Mikołajem Pawłowiczem i jego załotną towarzyszką, stawiają dymiący parą samowar i fajansowe przybory do herbaty. Pijąc herbatę bez cukru, o którym już samo wspomnienie przestało sybirakom dokuczać, i przegryzając dla osłodzenia jej rodzynkami, Mikołaj Pawłowicz rzuca od czasu do czasu rzeczowe zapytania w stronę tego i owego z kooperatorów, dotyczące się spraw bieżących towarzystwa. Ma przy tem minę bardzo serjo, jego pytania są krótkie, uwagi w tonie apodyktycznym; nie dopuszczającym dyskusji.

— Przywiozłem z Tomska nowe świdy — mówi Mikołaj Pawłowicz do brodatego technika. — Będziemy dalej wiercić i szukać wody, aż ją znajdziemy.

— Ależ tu w lesie niema słodkiej wody — odpowiada technik. — Szkoda roboty! Wszędzie wkoło jeziora albo wody wcale niema, albo słoń!

— Głupstwo! — twierdzi kategorycznym tonem Mikołaj Pawłowicz. — Jeśliby tak było, toby bór rósł tutaj nie mógł!...

Technik milknie przekonany.

— Jutro przyjeżdża chemik z Tomska — zwraca się Mikołaj Pawłowicz do zakładowego lekarza. — Będziecie mogli zbadać chemiczne i lecznicze własności wody i mułu jeziora.

— Hm... A czy przywiózł pan z sobą potrzebne chemikalja? — zapytuje go z głupia frant lekarz. — Niezbędny też mikroskop, a wreszcie i jakiś kął spokojny do badań... W namiocie niepodobna, ciemno...

— Wszystko się powoli znajdzie, tylko cierpliwości — odpowiada z niezamąconą powagą Mikołaj Pawłowicz.

— Mikołaju Pawłowiczu — zwraca się doń jeden z majstrów ciesielskich. — My sobie nie damy rady bez pomocnika, a to i dwóchby się przydało...

— Dostaniecie! Walerjanie Wasiliczu, przeznacźcie Iwana i głuchego Wasilja na pomocników cieślom.

— Mikołaju Pawłowiczu! — mówi tenże sam cieśla podniesionym i pełnym determinacji głosem. — Tak iść dalej nie może! Albo to naprawdę ma być poważna robota, albo zabawa dla dzieci, a ja na taką zabawę jestem już za stary! Takich pomocników weźcie sobie do wiercenia waszych dziur w ziemi, ale nie do ciesielki! Przecież to zima już nie za górami! I gdzież się my wszyscy z dziećskami podziejemy, jeśli barak nie będzie przed zimą skończony i jak należy zaopatrzony? Djabli wiedzą, co to takiego!

Wśród towarzystwa przy stołach zapanowała naraz na dłuższą chwilę głucha, przygniatająca cisza. I Mikołaj Pawłowicz siedział milcząco, z pochyloną głową...

— Mikołaju Pawłowiczu — przerywa milczenie pulchny buchalter w jedwabnej, wyszywanej koszuli. — Na Katkowskim stepie z naszym gospodarstwem niedobrze. Inni żniwa już pokończyli, albo kończą, a u nas jeszcze nie zaczęte. Tam niema kto robić... Bydło i konie chorują i paszy brak; mróz się lada dzień pojawi i nasze ogrodowizny już tak, jakby stracone... A pamiętajcie przecie, że jeśli nas Katkowski Step zawiedzie, to przepadliśmy już bez ratunku!

Mikołaj Pawłowicz wstaje za stołem, widocznie wzburzony:

— Walerjanie Wasiliczu, nie straszcie ludzi! To nieuczciwie z waszej strony! Katkowski Step postawi nas na nogi! Policzcie tylko, jaki tam mamy majątek w samym inwentarzu!...

— Tak to, tak — wtrącił się do rozmowy grubas z sinoczerwonym, jak niedojrzała śliwa nosem, szynkarz z zawodu. — Tak to, tak, — tylko że te konie i krowy wnet z głodu pozdychają, a za nimi i nam chyba ten sam los przypadnie...

— Komu się tu nie podoba — wolna droga! Nikogo gwałtem tu nie trzymam! — odciął się ostro Mikołaj Pawłowicz, zbierając się do opuszczenia kompanji przy stole.

— Tylko oddajcie nam wpierv nasze wkładki i wypłaćcie pensje za rok! — zawarczał szynkarz.

Mikołaj Pawłowicz, niezmiyszany jego aroganckim tonem, ruszył z powagą od stołu w stronę rozpoczętej pod piaszczystym obrywem budowy. Za nim wstali po kolei od stołów inni i rozeszli się po obozie.

Za Mikołajem Pawłowiczem, idącym z sekretarką, lekarzem, podpułkownikiem Zarzyckim i technikiem, podreptał też pulchny buchalter.

— Mikołaju Pawłowiczu — rzekł — rozporządźcie sami co do podziału robót... Ja już nie mogę! Nikt słuchać nie chce i każdy robi, co mu się podoba, to jest nikt nic nie robi...

— Dobrze — odpowiada Mikołaj Pawłowicz. — Zwołajcie ludzi pod dom zarządu. Za pół godzinki tam będę; tylko pokażę jeszcze to i owo doktorowi.

— Oto ta część lasu — zwraca się Mikołaj Pawłowicz do lekarza z rozjaśnioną i prawie natchnioną twarzą — to będzie wielki park zakładowy. Trzydzieści dziesięcin starego lasu! Ładny park, prawda? Ta część zajęta będzie przez gospodarze budynki: kuchnię, pralnię, administrację i t. d. Na tej części polany, najbardziej na działanie słońca wystawionej, urządzimy wielki ogród warzywny... Tak ze dwie dziesięciny...

— Przecież tu sam piasek — czyni nieśmiałą uwagę lekarz.

— To się wyrobi, użyźni...

— Bez wody?

— Wodę znajdziemy — twierdzi uparcie Mikołaj Pawłowicz. — Tam zaś, na całej tej przestrzeni aż do samego jeziora urządzimy trawniki i kwietniki. Pośrodku, o, w tem miejscu stanie kurhaus, tu wielki hotel, tam rotunda dla orkiestry, kilka will, restauracja, a tam, gdzie stoi budka kąpielowa, wystawimy łaźienki. Łazienki będą murowane. Widzieliście doktorze nasze wanny marmurowe?...

— Tak, tak; lecz zdaje mi się, że jest dotąd tylko jedna —

— Dwie; druga jest w naszym głównym magazynie w Rubcówce, a dziesiątek emaljowanych zamówiłem. — O, tu, na tem właśnie miejscu stanie jednopiętrowy hotel na wysokim podmurowaniu! Cegłę wyrabiamy sami, we własnej cegielni — —

— Aha, dobrze, że sobie przypomniałem! Mikołaju Pawłowiczu — rzekł milczący dotąd technik. — Cegielnię wypadnie nam zamknąć; te maszyny do formowania cegieł są do niczego! Psują się często, a robota z nimi wolniej idzie, niż rękami...

— To robić trzeba cegły rękami, w drewnianych formach! — odpowiedział Mikołaj Pawłowicz.

— Nie opłaci się... Taniej nam wypadnie sprowadzić cegłę już gotową...

— To nie może być! Cegielnię musimy prowadzić! Coby na to powiedzieli okoliczni chłopci, gdybyśmy teraz cegielnię zamknęli... Nie zapomnijcie też posłać jutro na stację wozy po młyn —

— Co za młyn? — zdziwił się technik.

— Kupiłem w Omsku młyn kieratowy na dwa konie... Będziemy sami mleć nasze zboże z Katkowskiego stepu. Młyn dwuwalcowy, mąka będzie przednia...

— A gdzie go każecie ustawić?...

— Ustawimy go pod stajnią. A teraz chodźcie doktorze do kancelarii, pokażę wam plany budynków. Prawie wszystkie już gotowe...

\*

Gdy w pół roku później wśród głębokiej zimy r. 1918 na 1919 opuszczałem te strony, by szukać chleba o sześćset wiorst dalej na południe, u samych stóp Altaja, w *Trudokurortie* nad Łabędziem Jeziorem pozostawiłem niezłomnego działacza, felczera-poetę Mikołaja Pawłowicza, z grubą sekretarką, z technikiem i dwoma cieślami. Wszyscy inni „kooperatorzy pracy“ opuścili *Trudokurort* z początkiem zimy. Zwątpili ostatecznie w powodzenie dzieła po katastrofalnym wyniku gospodarki na Katkowskim Stepie. Pozostali przeżywali ciężką zimę w baraku pod piaszczystym obrywem, — w oczekiwaniu wiosny i lepszych czasów...

### III. RODZINA DYMOWYCH

Powiedziano mi we wsi, że Michał Iliicz Dymow wynajmie mi z pewnością jedną, albo i dwie izby. Michał Iliicz Dymow ma duży ciosowy dom z kilku izbami, jeden z najlepszych we wsi, a mieszka w nim tylko sam z córką, żonaty zaś syn jego zajmuje dom drugi, mniejszy i nowy, postawiony niedawno obok pierwszego.

Poszedłem do Michała Iliicza Dymowa. Obejście gospodarskie przedstawiało się istotnie bardzo pokaźnie. Ogrodzenie od ulicy z dużą, ozdobną bramą; dom mieszkalny wysoki, ciosowy, na podmurowaniu; z dwóch stron otaczające obszerny dziedziniec gospodarskie budynki duże i schludnie utrzymane. Tak dom mieszkalny, jak i budynki gospodarskie, z potężnego jodłowego ciosu pobudowane, miały już na sobie ową brunatną, ciepłą patynę czasu i świadczyły dobrze o dostatku i zapobiegliwości gospodarza. Jedyne stojący po drugiej stronie bramy mały, niski domek, wyrwał się z pośród otoczenia nowością swego tylko co odartego z kory zrębu. Pomyślałem, wchodząc na dziedziniec obejścia, mimo nowiutkiego domku, że to pewnie mieszkanie syna Michała Iliicza, o którym mi we wsi mówiono; i zdziwiłem się, że rodzina Dymowych, posiadająca tak okazały, stary dom, w którym mogła się chyba wygodnie cała pomieścić, nie oparła się jednak rozbudzonej nagle we wsi ogólnej chciwości i poszła wraz z całą gromadą z toporami na bezbronny las... Ogólnie bowiem tak właśnie pojął i wyzyskał rewolucję chłop zarówno w europejskiej Rosji, jak i na Syberji...

Michała Iliicza Dymowa zastałem na dziedzińcu, zajętego majsterką przy wozie. Stał przedemną wysoki, kościsty starzec, z twarzą suchą, pomarszczoną, o małych, żywo błyszczących oczach, z rzadką, siwą szczecinką na brodzie. Wyprostował zgarbiony przy robocie grzbiet, obejrzał mnie bystro od stóp do głów i wyciągnął kościstą, żylastą rękę do uścisku. Weszliśmy do wnętrza domu. Izby obszerne, wysokie, utrzymane starannie i czysto. Podłoga w izbach, oprócz kuchni, malowana i przykryta tu i ówdzie pasiastym samodziąłem. Na oknach białe płócienne firanki; sprzęty proste, lecz schludne. W rogu izby środkowej, największej, ikony w szerokich, wyłożonych ramach, zawieszono jeden nad drugim, sięgają stropu długim szeregiem. Przed nimi lampka płonąca i kilka woskowych świec na małej półeczce. W drugim rogu stoi ogromny holenderski piec, obity żelazną blachą, z mosiężnymi ozdobami.

Po krótkim wahaniu zgodził się Michał Iliicz odnajdąc mi w swym domu dwie izby z kuchenką.

\*

W okresie, w którym go poznałem, Michał Iliicz Dymow liczył sobie lat siedemdziesiąt pięć. Tych lat jednak znać na nim nie było, i z równym prawdopodobieństwem mógłby być ktoś określić wiek jego na lat pięćdziesiąt kilka, jak i na osiemdziesiąt. Michał Iliicz cieszył się zdrowiem i siłami, którychby mu nie jeden czterdziestoletni mieszczuch pozazdrościł. Pamiętam, jak pewnego razu,

zobaczywszy, że się bezskutecznie mozolę nad zrąbaniem sękatego pniaka, wziął mi z rąk siekiere i z żywością iście młodzieńczą porąbał w jednej chwili tęgi pień na drobne polana. Na „zaimek“, do pracy letniej w polu już od lat kilku jednak nie wyjeżdżał, lecz zdawszy rolne gospodarstwo w zupełności na syna, sam spędzał lato razem z córką, trzydziestokilkuletnią chorowitą dziewczyną Natalją, we wsi, pilnując domu i pozostałego w zagrodzie dobytku.

Michał Ilicz Dymow był to typowy sybirak: twardy i hardy, głowę dźwżył wysoko i negatywnie odnosił się do biegu współczesnych zdarzeń. Rewolucja z jej walką „białogwardziejców“ z „krasnogwardziejcami“, Kiereńszczyzna, potem sowiety, a wreszcie terrorystyczne rządy admirała Kołczaka na Syberji wprowadzone przy pomocy Czechów, Polaków, Kozaków pod dowództwem atamanów, jak Dutow, Anienkow, Semenow, Kałmykow i i. — były dla niego zjawiskami absolutnie niezrozumiałymi. Na samo zdarzeń tych i nazwisk przypomnienie wpadał w gniew.... Zmarszczki na twarzy jego stawały się gęstsze i głębsze; policzki, czoło i żyłasta, chuda szyja napływały krwią aż do sinej barwy, oczy nabierały blasku, i Michał Ilicz, zapierzony jak kogut, wykrzykiwał nieco skrzeczącym głosem:

— „Czego oni chcą, psubraty! Mało to chleba i miejsca w Rosji?! Nie mogliby to zgodnie i po bożemu życia sobie urządzić?! Oszałeli, pies ich wszystkich wściekły ukąsił! Ot, Przeclawie Karłowiczu, jej Bogu, z pustemi rękami z nieboszczykiem ojcem na Syberję przyszliśmy. Lat temu już siedemdziesiąt będzie. Pięć lat mi było wtedy. A dziś mam ziemi tyle, żem i uprawić razem z synem nie w siłach, dom nasz z najlepszych we wsi, ambary nie puste, a bydła i koni u mnie sztuk koło sześćdziesięciu... Znajdzie się też w komorze i owczyn<sup>1)</sup> jeden i drugi dziesiątek, i skóry dobrej na buty zapas, i sierści owczej pud na wołok i pimę<sup>2)</sup>. A wszystko to temi dwiema gołemi rękami. Jak przed Bogiem mówię ci, Przeclawie Karłowiczu!... Ale im, tym gołodrańcom, robić się dziś nie chce! Na wojnie lekkiego chleba zażyli, i dziś do gotowego, do cudzego stołu chcą zasiąść i żreć! Pałkamiby ich wszystkich uczyć! Cara niema, pasterza — ot co — niema też i porządku!...“

Nie mógł starzec pojąć nowych haseł, które przynieśli z sobą w głuchą syberyjską tajgę, w podańtajskie stepy i osady — zdemobilizowani żołnierze z frontu i uwolnieni po Brzeskim pokoju jeńcy, z niemieckiej i austriackiej powracający niewoli. Zresztą i ci młodzi,

<sup>1)</sup> Owczyny — skóry owcze wyprawione na kozuchy.

<sup>2)</sup> pimy, albo wałanki, zwane także kałankami — wołokowe buty, używane na Syberji powszechnie w czasie zimy.

najbardziej zapaleni i najgłośniejsi o „ziemi i woli“ krzyżący, nie lepiej od starca rozumieli treść słów, które pochwytał przez czas swej długiej, wielomiesięcznej przez całą sowiecką Rosję tułaczki.

Ilekróć przychodził do mnie Michał Ilicz zamyślony, chmurny, zły — wiedziałem już, że był na „schodzie“, czyli na zebraniu gminnym...

— „Oni tam mówią“ — zaczynał — „swoboda, równość, prawo i — diabli ich tam zresztą wiedzą! Równość! Taki oberwaniec w dziurawych portkach, co wczoraj tu przyszedł z Rosji i przyniósł z sobą tylko wszy i niczego więcej nie może się dorobić, ma mi być równy! Mało że równy, on jeszcze szelma na mój dobytek i kawałek ziemi zezem spoziera! To na to ojciec mój się trudził, na tom i ja z synem pracowałem, żeby mnie taki psubrat miał za równego, dobierał się do mojego dobytku i wołał na mnie, jak na psa: „towariszcz!“ Jakim ja mu „towariszcz“?!.. Wymyślili sobie tego „burżuja“, i jak im się tylko w czym sprzeciwiysz, to cię ochrzczą „burżujem“, to jakby złodziejem, zdrajcą i zbójem, zaprzedańcem cara, żandarmów i Kołczaka! Ach, Boże mój, cóż to się teraz stało z ludźmi na tym świecie! Czyż to już nie będzie między narodem zgody, spokoju, nie wrócą dawne, dobre czasy?... Ty sam jak myślisz, Przeclawie Karłowiczu...“ ?

\*

Michał Ilicz opowiadał mi chętnie o tych dawnych dobrych czasach.... Zachodził do mnie wieczorem po dziennych zajęciach na pogawędkę przy szklance „czaju“ i smrodliwym papierosie z ohydnej „machorki“, którą przyrządzaliśmy sobie obaj z miejscowego zielonego tytoniu — sposobem wielce prymitywnym, susząc liście i siekając je potem siekierą wraz z łodygami i korzeniami.

Stosunki moje tak z gospodarzem, jak i z całą jego rodziną stały się wkrótce, niemal niepostrzeżenie, przyjacielskimi.

Czasy były niespokojne, niepewne, chłopstwo w Stepowym, Podałtajskim kraju poczynało się już na dobre burzyć przeciwko wojskowym, terrorystycznym rządóm admirała Kołczaka, zbroiło się i organizowało po cichu drużyny powstańcze.

Widziałem, że Michała Ilicza gryzie coraz silniej obawa i niepewność jutra. Do „czerwonych“ przystać nie mógł i nie chciał; był już dla nowych idei za stary, za dobrze mu się dotąd żyło i zbyt wysoko cenił własną godność, ażeby się zechciał łączyć z „nowosiółkami“, młokosami i wiejskimi krzykaczami. Czuł jednak respekt i lęk przed tą żywiołową burzą, której przyjście czuć było wkoło i która całemu dotychczasowemu porządkowi rzeczy także i na Syberji gwałtownym wywrotem groziła.



Żał mi było starca i nawracałem myśl jego przy każdej nadarzającej się sposobności do owej lepszej przeszłości. Wówczas wglądała się jego twarz, uśmiechały się małe, bystre oczy, i stary sybirak zapominał o dzisiejszych troskach i obawach. Opowiadał mi zwłaszcza chętnie o swych dalekich wyprawach za zarobkiem w młodszych i męskich latach do Kraju Siedmiu Rzek, po drugiej, południowej stronie Ałtaja, i do Turkiestanu.

— „Ech, Przeclawie Karłowiczu!“ — mówił, cmokając ustami. — „Cóż to za kraj, co za kraj! Tam ziemia — matka rodzona! Co za owoce! I winogrona i figi i brzoskwinie i morele i arbuzy — rozkosz sama! Melony i kawony... A dostać możesz wszystkiego, ile zjeść zdołasz, za grosze! Bierz tylko i jedz, ile wlezie! Ot, bogata Rosjamatka, jak chyba żaden inny kraj na świecie“.

W Turkiestanie pracował Michał Ilicz w młodości swej przez lat kilka, jako przewoźnik na jednej z większych rzek i opowiadał mi po wielekroć z zachwytem, że łzami w maleńkich swych, bezręcznych oczach — o tem, jak to przeprowiwał pewnego razu przez rzekę jednego z wielkich książąt z carskiej rodziny, podówczas generał-gubernatora Turkiestanu.

— „Mówię ci, Przeclawie Karłowiczu, tak byłem od niego, od wielkiego kniazia, jak od ciebie w tej chwili! Pytał się mnie po ludzku, skąd jestem rodem, gdzie żyję, ile zarabiam, pytał się o żonę i dzieci — a na pożegnanie poklepał mnie po plecach, jej Bogu, i wsunął w garść dwie złote dziesięciorublówki, jak mnie tu żywym widzisz! Ot, człowiek był — a bliski krewny samego cara!... Długom je chował, te złote dziesięciorublówki, aż przyszła potrzeba — a wtedy nie było to, co dziś, i dwadzieścia rubli był wielki kapitał! Za dwa, trzy ruble można było tęgą krowę kupić — tak i te pieniądze wydało się“....

Nie podobały się jednak Michałowi Iliczowi rządy „białych“ po czeskiem powstaniu na Syberji. Krzywdę chłopstwa — obdzieranego, bitego i rozstrzeliwanego za bądź co przez t. zw. „karne ekspedycje“, składające się przeważnie z kozaków, tradycyjnych pretorjanów „samodzierżawia“, — odczuwał jak krzywdę swą własną, pojmował gniew uciemiężonych, a godność i duma swobodnego Sybiraka burzyła krew w żyłach starca.

— „Jakże to tak, Przeclawie Karłowiczu?“ — mówił do mnie rozgoryczony. — „To nas tu za cara nikt pałkami nie katował i czynownik z miasta, nawet gubernjalny, jeśli się pokazał u nas, a to i sam gubernator, po ludzku się z nami, sybirakami, obchodził, godność naszą szanował! A dziś cudzoziemcy, z bolszewikami ma-

dziary i kitajce<sup>1)</sup>, a z Kołczakiem czechy, polaki i kozaki — do naszego grzbietu się dobierają! Skąd im to prawo?!... Car, to był car wszechrosyjski, samodzierżawny, nasz car, od Boga i ludzi miał władzę, a przecież nikt nas na Syberji za cara nie grabił, nie bił, nie mordował! Ech, czasy to, czasy! Koniec to już chyba nam i całej Rosji!“

Michał Ilicz lubił pociągnąć z butelki... Bywało, zniknie z domu na dni kilka, a gdy się potem pojawi, zapytany przezemnie, gdzie się podziewał, łypie czerwonymi oczami z filuterną tajemniczością i mówi:

— „Na fabryce się było, Przeclawie Karłowiczu, na fabryce... Popróbujemy chyba, co?“

I zjawia się u mnie za chwilę z butelką, wypełnioną cuchnącym płynem, barwy opalowej, zasiada uroczyście za stołem i nalewa płyn do filiżanek.

— „Pierwszej sorty samogonka! Z najlepszej, jej Bogu, pszenicy! Popróbuj, Przeclawie Karłowiczu, winem przedniem pachnie... Na twoje zdrowie, Przeclawie Karłowiczu!“

I wypiwszy pierwszą jednym haustem, spluwa szeroko poza siebie... Spróbowałem raz i drugi tego fabrykatu syberyjskiego przemysłu ludowego i odchorowawszy próbę, odmawiałem odtąd stanowczo udziału w libacjach Michała Ilicza, narażając się raczej na jego drwiny i niełaskę, niż na obmierzły smak i skutek preparatu... Sam już zapach „samogonki“ budził we mnie odtąd uczucie, bliskie mdłościom.

Michał Ilicz cedził zaś powoli filiżankę za filiżanką, częstował syna, synową i wnuki, nie wyłączając także najmłodszych, kilkoletnich... Pijąc, cmokali wszyscy ustami, i w sporej beczułce, którą z „fabryki“ przywoził, pojawiała się w tydzień, dwa, puste dno.

Nie było w owych czasach włościanina w pierwszej lepszej syberyjskiej wsi, bez względu na geograficzną szerokość i długość, któryby lwiej części swego zbioru nie przerabiał na „samogonkę“ w przedziwnie przez domorosłych mechaników dla tych celów skonstruowanych aparatach. I w każdej wsi można było wtedy znaleźć takich aparatów co najmniej dziesiątek! Sporządzano je z kadzi, z beczułki i kawałka blaszanej rury, a właściciele ich i zarazem fabrykanci robili doskonale na tym przemyśle interesy, otrzymując jako wynagrodzenie część fabrykatu. Nie pędziły samogonki i nie piły jej tylko wsie, zamieszkałe przez raskolników, czyli „starowie-

<sup>1)</sup> Kitajce — Chińczycy.

rów". Nie pamiętam już dziś dokładnie cyfr, pomnę jednak, że liczby objaśniające ilość spożytkowanej w ten właśnie sposób przez syberyjskie chłopstwo pszenicy, — które podawała wówczas miejscowa prasa, — były olbrzymie i budziły ogólne zdumienie i niedowierzenie.

Gdy próbowałem wytłómaczyć temu i owemu z poważniejszych chłopów, że ta zanieczyszczona silnie fuzlem wódka, to trucizna, skrcająca każdemu z nich o dziesiątek lat życie i zabijająca tak w nich samych, jak i w ich dzieciach dusze, śmieli się z moich słów, podejrzewając w nich interes mieszczaucha i „burżuaja“.

— „Ty popróbuj tylko, Przeclawie Karłowiczu, znajdź smak w samogonce, a zobaczysz, że ona nawet od mikołajewki nie gorsza“ — mówili. — „I poco mielibyśmy dziś chować zboże po ambarach? Przyjdą biali i zabiorą; a nie wezmą oni, to wezmą jutro czerwoni... Lepiej już my sami wypijemy, duszę pocieszymy, zdrowie pokrzepimy!“...

Pili też wszyscy na umór! W świąteczne dni całe wsie były pijane. I starzy i młodzi, poważni gospodarze i parobcy, baby i dziewczęta, a nawet dzieci — wszyscy wałęsali się po wsi gromadami, zataczając się, śpiewając żałośnie, krzycząc lub wyjąc dziko, i przepijali zapasy zboża z lat kilku. Czyniło to na mnie wrażenie, jakgdyby tłumem tym rządziła jakaś fatalistyczna determinacja, przecucie i bierne poddanie się zgubie, masowemu samobójstwu... A może było to zapijanie śmiertelnego strachu przed rozpętaną na Zachodzie, a ogarniającą i Syberję burzą... Bo jednak — w przeciwieństwie do rosyjskiej na Zachodzie — wieś syberyjska była przedtem trzeźwą. W kilku dużych, zamożnych wsiach w Stepowym kraju, w których mi przez czas dłuższy lub krótszy mieszkać albo częściej bywać wypadło, prym w pijaństwie wiodła miejscowa „inteligencja“, czyli pop z djakiem, nauczyciel i felczer... Jeśli podobnie działo się wszędzie, to nie dziwota, że pijaństwo stało się w owych niepewnych, groźnych czasach ogólną epidemją, plagą także i na Syberji.

Mój gospodarz Michał Ilicz nie pochwalał jednak złego przykładu, idącego z góry, choć sam z rodziną w samogonce szukał pociechy, to gdy o miejscowym duszpasterzu lub nauczycielu mówił, używał stale słów mocnych, takich jak: rozpustnik, pijanica, świnia i t. p.

Popowi tutejszemu, batjuszce Piotrowi, przydarzało się niekiedy, że podczas hulanki z chłopami bywał przez swych kompanjonów pobity i wyrzucany z chaty na ulicę... Ojciec Piotr, pomimo że żonę miał młodą i urodziwą, łasy był jednak na wdzięki żon cu-

dzych, co mu też nierzadko i niemało guzów i sińców przysparzało... Brat zaś jego, pop w sąsiedniej, ogromnej i bogatej wsi Jegorówce, liczącej około dwunastu tysięcy mieszkańców, był jednym z tych, co to czują, skąd wiatr wieje i słyszą, jak trawa rośnie. Ojciec Paweł, człowiek trzeźwy i zdolny, wywnioskował dość wcześnie, że czesko-kołczakowska impreza źle się na Syberji skończy, że siła jest jednak i pozostanie przy bolszewikach, w danej chwili jedynej dla syberyjskiego chłopca ucieczce przed kozacko-kołczakowską samowolą i anarchją. Przyszedszy do tego wniosku, Ojciec Paweł, jako człek jeszcze młody i gorący, począł wcześniej wspierać pochichu drużyny powstańcze, organizujące się w Stepowym Kraju w okolicach Sławgorodu i o mało co nie stał się swych przewidywań ofiarą.

Jeden z oddziałów karnych armji Kołczaka wpadł na ślad tajnych konszachtów batjuszki Pawła z bolszewikami i zaaresztował go. Uratowała popa przed stryczkiem czy kulą popularność wśród chłopstwa; najpoważniejsi, uznani za bezwzględnie lojalnych właścianie w parafji dali zań porękę i wydobyli go z ciężkiej opresji.

Ojciec Paweł działał podobno później, już po upadku Kołczaka, jako gorliwy komisarz bolszewicki w Stepowym Kraju i stawiał swych wczorajszych wrogów i oskarżycieli „pod ścianą“. Ojca Pawła znałem dobrze. Był to istotnie interesujący człowiek. Umysł trzeźwy, lecz niespokojny, pełen zawsze oryginalnych pomysłów, które jego żywy temperament natychmiast w ciało oblekał. Miał sławną w całej okolicy pasiekę, z kilkuset pni złożoną, i przepyszne stępowe kłusaki, które często po mnie przysyłał. Byłem u niego w łaskach i dzięki temu miałem w domu zawsze miód dla osłodzenia herbaty. Chłopi, którym sprytem swym i rozmachem imponował, lubieli go i poważali.

\*

Zdarzyło się w czasie mego pobytu we wsi Lebiaże<sup>1)</sup>, że musiałem wyjechać na dni kilka do miasta, odległego o osiemset wiorst, dla poczynienia sprawunków. Gdy po tygodniu niebytności wróciłem, zastałem całą wieś, pomimo że to był dzień powszedni, na ulicy. Wieś Łabędzie zmieniła się w ciągu dni kilku w obóz powstańczy... Po drogach pod wsią i we wsi harcowali na koniach uzbrojeni parobcy, w szkole obradował „sztab“, złożony z zdemobilizowanych w pierwszych miesiącach rewolucji „frontowników“, w powietrzu jęczał bez przerwy donośnie dzwon cerkiewny na alarm, w domu

<sup>1)</sup> Lebiaże — Łabędzie, wieś nad Łabędziem jeziorem.

gminnym i przed nim na placu, tłumy ludu rozkrzyzanego, pijanego, bab i dzieci...

Z obawą mijałem szkołę ze „sztabem“ i dom gminny. Przepuszczono mnie jednak bez przeszkód. W domu przywitał mnie zatroskany i niespokojny Michał Ilicz wiadomością, że chłopcy byli u mnie z rewizją. Szukali u „burżuja“ broni, a osobiście kulomiotu, który, jak uparcie twierdzili, ukrywam. Przeszukali dom cały od strychu do piwnic....

— „Zwarjowali“ — mówił do mnie zaperzony Michał Ilicz. — „Zupełnie oszaleli! Zjawiło się we wsi kilku takich czerwonych oberwańców ze Sławgorodu<sup>1)</sup> i wieś całą zbuntowali. Nasi zbierają się teraz na wojnę z Kołczakiem! Słyszane to?.. Ot, nieszczęście! Przyjdą Czesci lub kozacy Anienkowa i wieś puszcza z dymem! Z dwoma dziesiątkami karabinów i tyluż rewolwerami wojować chcą! Okopy pod wsią ryją!“

Powstanie to skończyło się smutnie. Wprawdzie do starcia nie przyszło, gdyż chłopcy po odjeździe agitatorów wytrzeźwieli, uspokoili się pod wpływem starszych i rozsądniejszych we wsi włościan, broń ukryli i rozeszli się cichutko po chatach, jak dzieci, co nabroiwszy, kryją się po kątach, lecz mimo to zjawił się we wsi w tydzień po „powstaniu“ karny oddział kołczakowskich żołnierzy z oficerem na czele i rozkwaterowawszy się po chatach, rozpoczął śledztwo i doraźne egzekucje. Kto z zamieszanych w awantury nie zdążył zawczasu zbiec i ukryć się w głębi boru, tego bito pałkami lub stawiano przed lufą. A między wsią Lebiaże i Jegorówką pojawiła się w stepie wysoka, świeża mogiła....

\*

Chociaż całe gospodarstwo rodziny Dymowych spoczywało na krzepkich barkach Wasyla, syna Michała Ilicza, pięćdziesięcioletniego, rosłego niczem dąb muzyka, o jasnych jak len włosach i szerokiej brodzie, sam zaś stary Michał Ilicz był już czemś w rodzaju „emeryta“, to jednak nie Wasyli, lecz Michał Ilicz był wciąż jeszcze i faktycznie głową rodziny; głos jego we wszystkich ważniejszych sprawach gospodarczych i rodzinnych był rozstrzygający. A jednak na głos tego samowładnego patriarchy rodzinnego przeważny wpływ miała słabowita, wåtła i cicha córka Natalja... I pewnie dzięki temu, że to jej rady i wyroki rozstrzygały w donioślejszych sprawach,

<sup>1)</sup> Sławgorod — miasteczko najbardziej na południe wysunięte w Stepowym Kraju, było wówczas centrem bolszewickiej propagandy i rewolucyjnych działań przeciw Kołczakowi.

rodzina Dymowych żyła zgodnie i przykładowo, a tak Michał Ilicz, jak i syn jego Wasyli, mogli jeszcze we wsi za wzór trzeźwości uchodzić.

Był to wyjątkowy typ nawet wśród sybiraczek — ta trzydziestokilkuletnia dziewczyna Natalja... Jak rdzenny sybirak, t. j. włościanin już urodzony na Syberji, tak i kobieta-sybiraczka — różni się znacznie od włościan, część europejską Rosji zamieszkujących. Gdy włościanin rosyjski ma w sobie jeszcze wszystkie cechy świeżo wyzwolonego niewolnika, tchórzliwego, pokornego, obłudnego, łaszącego się przed władzą i panem, korzystającego jednak z każdej nadarzającej się sposobności, aby zwierzchników oszukać, to sybirak, z natury małomowny i zamknięty w sobie, ma już w wysokim stopniu poczucie swej ludzkiej i obywatelskiej godności i niezależności, dumę zdobywcy i pioniera tych nieznaną żadnych pana, a często też i jakiegokolwiek władzy, ogromnych syberyjskich przestrzeni.

Włościanin rosyjski pije i katuje żonę codziennie zasadniczo, „pryncypjalnie“, dla ulżenia sobie, dlatego, że tak jego dziad, pradziad, jak ojciec — byli bici i sami bili, i dlatego także, że kobieta jest wobec jego fizycznej przewagi bezbronna. Pijaństwo było przed wojną europejską i rewolucją rzadkością wśród sybiraków, a i dziś jeszcze jest wyjątkowem zjawiskiem wśród sybiraków-sekciarzy: raskolników, mołokanów itd. Sybiraczka cieszy się w swej rodzinie najzupełniej po europejsku pojmowanym respektem, a nawet, i nie rzadko, jej głos bywa w rodzinie decydującym. Nigdy też przez czas mego pobytu na Syberji nie słyszałem o wypadkach bicia i znęcania się tamtejszych włościan nad kobietami i dziećmi. Wpływać na to musi bezwątpienia wysoka wartość udziału kobiety w dużem i wszechstronnem gospodarstwie sybiraka, a może też na syberyjskiego włościanina w ten sposób oddziałał przykład równorzędnego z mężczyzną stanowiska kobiety wśród dzikich autochtonów Syberji, koczujących mongołów, kirgizów, burjatów, tunguzów i i. — Dzięki temu stanowisku w rodzinie sybiraczki są tak w stosunku do swych najbliższych, jak i obcych, swobodne, nawet pewne siebie i wesołe. Witając się z obcym, bez względu na stanowisko i wiek jego, sybiraczka wyciąga do uścisku rękę, podobnie, jak jej ojciec lub mąż, i „tyka“ go w rozmowie. Tak w domu, jak i w gościnie, zasiada przy stole obok mężczyzn, i je i pije na równi z nimi.

Lecz córka Michała Ilicza, Natalja, wyróżniała się i wśród ogółu sybiraczek. Szczupła, wysoka, o bladej, schorowanej i nieco przywędłej już twarzy, z prostym, regularnym nosem, wysokiem czołem, cienkimi wargami, o dużych, głębokich i inteligentnych oczach —

była to naprawdę subtelnie wytworna dama, ta syberyjska wieśniaczka, Natalja Michajłowna Dymowna... Rok prawie żyłem wśród rodziny Dymowych i ni razu nie postyszałem z ust Natalji słowa szorstkiego, nie słyszałem, by głos na kogoś podniosła. Jej ruchy, strój, sposób mówienia i myślenia — były pełne wykwintnej prostoty i szczerości, zawsze skończenie szlachetne i piękne. Dla siebie nie wymagała niczego, a to, co do niej bezsprzecznie należało, oddawała innym, potrzebującym; żyła myślą o innych. Podziw zwłaszcza budziła we mnie jej głęboka religijność — pozbawiona wszelkiego śladu dewocji. Mimo, że sama pędziła życie niemal ewangeliczne, umiała być jednak dla innych pobłażliwą i pełną wyrozumiałości.

\*

Z głębokim żalem opuszczałem dom Michała Ilicza, przenosząc się o sześćset wiorst dalej w step, tuż pod stopy śnieżnego Ałtaja. Rodzinę Dymowych żegnałem z uczuciem i świadomością, które towarzyszą nam, gdy porzucamy na zawsze ludzi nam bliskich. Byli mi oni bliżsi od spokrewnionych krwią lub intelektem, bo obcemu włóczędze oddali bezinteresowną, szczerą przyjaźń, a umieli ją też wziąć odemnie.... I pamięć o tych moich dalekich i wiernych przyjaciółach jest w moich wspomnieniach związana na zawsze z radosną wiarą w dobrych ludzi.

#### IV. FELCZER PUTINCEW

Duża, do czysta wygolona i blada twarz, o silnie rozwiniętej szczęce dolnej, obwisłych kątach ust, z których wystają dwa kły. Oczy małe, niespokojnie biegające, chciwe i chłodne. Typ złego psa lub raczej drapieżnego ptaka — wrażenie, które podkreśla jeszcze długa, chuda, koścista i nieco pochylona postać, o niepomernie długich rękach... Oto sylwetka Mikołaja Putincewa, felczera okręgu i szpitala ziemskiego w Czerwonym Jarze nad Irtyszem, u stóp Ałtaja.

Gdy się z nim po raz pierwszy, tuż po moim do Krasnego Jaru przybyciu, w szpitalu zetknąłem, uczułem odrazu w duszy nieprzyjemny niepokój i odrazę. Przypomniała mi się mimowoli twarz kata, którego widziałem w r. 1917 w „tjurmie“ w Wierchnim Udińsku w ziemi Zabajkalskiej. Kat ów wykonał od r. 1906 do r. 1917 ni mniej ni więcej, jak dwieście trzydzieści wyroków śmierci przez powieszenie....

Wiedziałem już, co to są felczerzy po syberyjskich wsiach. Wszędzie, gdzie się z nimi zetknąłem, stoczyć musiałem beznadziejną dla mnie walkę. Zbyt silnych mieli oni sprzymierzeńców w ciemnocie ludu, jego nieufności do inteligenta i cudzoziemca. W walce ze mną

używali broni, do której chyba żaden przeciętnie inteligentny europejczyk nie byłby zdolny.

A felczer Putincew był, jak się wkrótce miałem przekonać, typowym ich przedstawicielem. Już w Ziemskim Zarządzie, w którym mi Czerwonojarski okręg sanitarny oddawano, uprzedził mnie referent, że będę miał do czynienia z zasiedziałym oddawna na miejscu felczerem, t. zw. rotnym z czasów wojny rosyjsko-japońskiej, t. j. zwykłym sanitarjuszem wojskowym, który, odsłużywszy w wojskowym szpitalu przepisaną liczbę lat i poduczysz się praktycznie najprostszych prawideł pielęgnowania chorych, zda egzamin na „rotnego felczera“ w stopniu starszego podoficera.

Felczer Putincew przeszedł po wojnie na służbę do urzędu przesiadkowego na Syberji, zamienionego w czasie rewolucji na Ziemstwo, i leczył lud...

Referent sanitarny w Zarządzie Ziemskim objaśnił mi, że Czerwonojarski okręg pozostaje bez lekarza od lat pięciu i felczer Putincew gospodaruje od pięciu lat samodzielnie w szpitalu i okręgu, do którego należy ponad dziesiątek ogromnych wsi i tyleż przysiółków, razem około czterdziestu tysięcy ludności. Referent zalecał mi gorąco, bym rozpanoszonego felczera — „wziął dobrze w ręce“....

\*

Chłop „starowier“, z ogromnej i bogatej wsi Łosichy, zamieszkałej wyłącznie przez starowierów<sup>1)</sup>, wiózł mnie z ostatniej przed Czerwonym Jarem stacji pocztowej. Rosły, jasnowłose, rumiany „muzyk“, przyodziany dostatnio w długi żupan z burego samodzielnego sukna, nałożony na kozuch i przewiązany w biodrach pstrym pasem wełnianym, w wielkiej uszatej czapie z sukna, podbitej barankiem i obszytej zajęczem futrem, w wysokich białych „pimach“, o cholewach, ozdobionych jaskrawo czerwonymi motywami — poważny i sympatyczny, dowiedziawszy się, kim jestem i po co do Czerwonego Jaru jadę, rzekł do mnie:

— „Ech, niesłodkoż będzie tobie z naszym felczerem Putincewym...“

— „Dlaczegoż to?“ -- pytam zdziwiony.

— „Już bo on nazbyt tu u nas w sadło obrósł. Zasiedział się... Sam był i robił, co chciał. A teraz — to jakże mu być? Twoim mu chyba podwładnym zostać, a tobie rządzić w szpitalu, aptece i w okręgu wypadnie?“

<sup>1)</sup> „Starowierzy“, zwani też „raskolnikami“ — sekta religijna, która, prześladowana w Rosji, przeniosła się w XVIII i XIX w. na Syberję.



— „Ano chyba nie inaczej — —“

— „Hm.... Ja tak myślę, że nie będzie między wami zgody. Prosty on muzyk, kozak tutejszy, twarda sztuka. A ty delikatny, z miasta pewnie będziesz, z uczonych i jakby cudzoziemiec. Nie zżyjesz się ty gołąbku z felczerem naszym — z Putincewym — myślę.“

— „Spróbuję“ --

— „A może, — dobrzeby to było, bo naród z felczera Putincewa niewiele ma pociechy. Proszki to on z apteki różne daje za drogie pieniądze, a naród i tak umiera od wszelakiej zarazy...“

— „Za pieniądze?“

— „Czasem za pieniądze, a kiedyindziej za zboże, za kartofle, kapustę, miód.... Darmo nikt niczego od niego nie dostanie, choćby umierał“.

— „A przecież tu był przed wojną doktor?“

— „Jaki tam doktor! Może on był i doktor, ale całkiem młodziutki, a w dodatku z siostrzenicą Putincewa żonaty. I Putincew, jako że starszy i wój żony doktora, dalej w okręgu i szpitalu rządu. Wiadomo: kruk krukowi oka nie wykole. — A krowę to, albo konia wyleczyć umiesz?“

— „Nie; tylko ludzi.... Leczenie zwierząt — to osobna sztuka. Leczeniem zwierząt zajmują się weterynarze. I wasze Ziemstwo ma chyba swoich weterynarzy i na wieś ich posyła“ —

— „A był tu kiedyś taki we wsi Szymonajcha; tylko że to on ludzi leczył, a na bydłętach się nie znał. Hm, dobrzeby to było, gdybyś choremu bydłęcium umiał wygodzić. Putincew to i bydłętą leczy, jak potrzeba...“

— „I ze skutkiem?“...

— „To, to właśnie, że nie bardzo! Jak mu dobrze zapłacisz, to on się stara i koło bydłęcia — nie można powiedzieć.... Tylko że nauki mało ma. A tyś widać uczony, to myślę, żeś wiedzieć powinien, jaka u bydłęcia choroba?“

— „Teraz was już Putincew obdzierać nie będzie! Tak mnie, jak jemu, pieniędzy z was za leczenie brać nie wolno. Ziemstwo płaci nam pensje i leczenie należy się wam darmo.“

— „Ech, Boże ty mój! I Putincewu myśmy chleba nie żałowali, i tobie nie pożałowamy, byleś w chorobie pomógł. A to pomocy od Putincewa żadnej nie było...“

— „A nie mogliście to żądać od Ziemstwa zmiany felczera?..“

— „Będziesz tam żądać! Toć tak okręg, jak szpital i felczer był do niedawna rządowy; a wiadomo, że nasza chłopska rzecz -- słu-

chać, a nie żądać.... Zresztą i drugi byłby nie lepszy. Bywali przed Putincewym, nie lepsi byli.“

— „Teraz inne czasy —“

— „Tak powiadają... Bóg sam wie, jakie to czasy: lepsze, czy jeszcze gorsze. Porządku żadnego niema. To rewolucja i ziemstwo, potem bolszewiki i sowiety, a teraz Kołczak i kozaki. Gorzej niż za cara. Za cara porządek był...“

— „Chcielibyście, by car wrócił?“

— „A co chłopu do cara! Wiadomo: car daleko, Bóg wysoko.... Pasterza niema, ot co! A bez pasterza stado się rozbiega. A ty sam — to skąd będziesz? Nie nasz przecie, nie ruski?“

— „Polak...“

— „To niby katolik?“...

— „Tak.“

— „Katoliki — naród delikatny, mówią u nas starzy. Bywało ich i tu dawniej niemało — polityczni sami.... A prawosławni — naród nieczysty; wódkę piją, Boga się nie boją...“

\*

Rację miał ów raskolnik, ostrzegający mnie przed felczerem.

Mikołaj Putincew przyjął mnie już od pierwszego dnia wrogo. Gdy zażądałem od niego zdania rachunków z gospodarstwa w szpitalu i aptece i oddania inwentarza, okazało się, że żadnych rachunków ni spisów nie prowadził....

Chorych w szpitalu od początku wojny wcale nie bywało, lecz Putincew pobierał z ziemstwa w całości kwotę, przeznaczoną na utrzymanie sześciu chorych w szpitalu i do zarządu ziemstwa wysyłał fikcyjne rachunki.

Wśród rupieci w magazynie szpitalnym odnalazłem wreszcie księgę ze spisem inwentarza, sporządzonym przed kilku laty, a wówczas spłoszony felczer począł znosić i zwozić do szpitala i apteki zabrane do domu sprzęty, naczynia, bieliznę, szkło apteczne.... Leki, które chorzy z okręgu powinni byli otrzymywać za darmo, felczer sprzedawał na swój własny rachunek.

Odebrałem mu wreszcie klucze od apteki i szpitalnego składu, odsunąłem go od ordynacji w szpitalu i postawiłem go w zarządzie ziemskim w stan oskarżenia. Na własne plecy wzięłem całą pracę w szpitalu, w aptece i w okręgu.

Felczer przyjął wyzwanie i stanął do walki ze mną w pełnym uzbrojeniu. Zbuntował wnet przeciwko mnie służbę szpitalną, budził nieufność u chorych, oczerniał mnie przed wsią, rozsiewał najdziwaczniejsze o mnie plotki. Doszło do tego, że przyjaźnie

dla mnie usposobieni, poważniejsi gospodarze we wsi ostrzegali mnie, bym wieczorami z domu nie wychodził, gdyż felczer Putincew gotów jest na wszystko, nawet na urządzenie na mnie napadu....

\*

— „Nie lepiejby to było żyć z felczerem w zgodzie, groszem się dzielić?... I tybyś, doktor, miał dość, i felczer nie buntowałby ci narodu“, — mówił do mnie z filuternym uśmiechem jeden z rozumniejszych włościan w Czerwonym Jarze, trochę kupiec, trochę spekulant, a zarazem przewodniczący miejscowej kooperatywy i skryty sympatyk bolszewików.

— „Czy to was do mnie Putincew dla układów jako pośrednika przysłał?“ pytam chłopca.

— „A jeśliby i tak było?...“

— „To mi wstyd za was, żeście się pośrednictwa podjęli, zamiast pomóc mi do przegnania stąd felczera!“

— „Ech, dziwnyś ty jakiś człowiek, dziwny, nie nasz to prawosławny człowiek, odrazu widać! A wiesz ty doktor, co felczer o tobie muzykom w ucho podszeptuje?“

— „Cóż takiego?“

— „Ano, żeś ty z jeńców, żeś germaniec, a to i szpieg germański może, i że prawosławnych truć będziesz.“

— „I cóż — wierzą mu ludzie?“

— „Jedni wierzą, inni nie wierzą. — Wiadomo: naród ciemny, w byle co uwierzyć gotów“...

— „A ty sam?“

— „He, he, he! A ty, doktor, jak myślisz?... Jakże to — mówię ludziom — jeśliby on był szpiegiem, to jakieżby go czart do naszego Czerwonego Jaru sprowadził? Kogo i coby on tu miał do szpiegowania? I zaco by on nas truł?... Mało tego; felczer straszy naród, żeś ty mu dlatego zabrał klucze od apteki, bo chcesz z apteką uciec! He, he, he!“

— „Chyba takich głupców, coby mu wierzyli, nie wielu tu znajdzie?“

— „Tak to, tak... A przecież ty się nie dziw, jeśli spostrzeżesz, że cię naród pilnuje...“

\*

— „Słychać u nas, że z felczerem to, z Putincewym wojujesz? — rzecze mi pewnego razu chłop starowiec z pięknej Łosichy, odległej od Czerwonego Jaru o trzydzieści pięć wiorst.

— „Wcale nie wojuję... To on ze mną wojuje, oszczerstwami chce mnie stąd wykurzyć, naród buntuje. Wścieka się, bo mu na

ręce patrzę, w aptece i szpitalu porządek zaprowadziłem i w ziemstwie go o łajdactwa oskarżyłem. Powinnibyście to przecież zrozumieć! Chcę, aby szpital i apteka wam służyły, a nie kieszeni felczera“.

— „Sprawiedliwie... Słyszałem ja o tem. I nieraz nam dziwno było, że to na takiego felczera żadnego prawa niema... Robił, co chciał, leczyć — to nikogo nie wyleczył, a za byle proszek z apteki płacić sobie, i to nie byle jak, kazuje...“

— „O to mi właśnie idzie, że za leczenie i leki z apteki nie wolno mu od nikogo brać zapłaty.“

— „Ho, ho, ho! A z czegóżby to Putincew stał się bogaczem! Wiadomo, że przyszedł tu w jednych dziurawych butach i lichej koszulinie. A teraz u niego ciosowy dom na schwał, ogród, konie, krów kilka, i na pieniądzach siedzi...“

— „Dawaliście się obdzierać, to i darł z was! Ot i teraz, powinście mi przecież pomóc, podać do ziemstwa, co i z kogo pobrał za leczenie i leki, a wnetbym z nim sprawę skończył. Ten i ów mi opowiada, że felczer mnie przed ludźmi oczernia, lecz gdy próbuję dojść tego, co i komu przeciwko mnie mówił, to się każdy wypiera i kryje... Cóż do licha! Czyż się felczera boicie?“

— „Hm... Bać się, to ja się go tam nie boję... Lecz są i tacy pewnie, co się go lękają. A przytem mówią u nas ludzie, że ty miejsca tu nie zagrzejesz, no, a felczer człek tutejszy, zasiedziały, zostanie...“

— „Jeśli felczera Putincewa się nie pozbędę, to z pewnością u was nie zostanę! Dobry wam Putincew, tom ja wam niepotrzebny!“

— „Ech, gorącyżeś ty człowiek, gorący!... I co ci to szkodzi, że felczer zarobi? Ludzka to rzecz, i naród przez to nie zubożeje. I ty-byś się u nas dorobił, byleś narodowi pomóc się starał. Nie pożałowaliśmy Putincewu, nie pożałowujemy i tobie...“

\*

Po sześciomiesięcznej jałowej walce, wyczerpany, zniechęcony i nie doczekawszy się nawet śledztwa przeciwko felczerowi, zażądałem od zarządu Ziemstwa zwolnienia mnie z obowiązków okręgowego lekarza ziemskiego w Czerwonym Jarze i otrzymawszy zwolnienie, oddałem szpitalik i aptekę, stosownie do polecenia zarządu, z powrotem w ręce triumfującego Mikołaja Putincewa... Zbierałem się już do wyjazdu z Czerwonego Jaru, gdy zjawilo się u mnie kilku raskolników z okręgu.

— „Wyjeżdżasz“, — powiadają do mnie — „zostawiasz szpital i nas na łaskę Putincewa?“

— „Wyjeżdżam. Robiłem co mogłem, żeby was od Putincewa uwolnić. Nie pomogliście mi w tem, sam więc ustępuję... Jadę szukać chleba gdzieindziej“.

— „Ech, chleba to wystarczyłoby u nas i dla ciebie... Żle robisz, że nas rzucasz. Na półtora wiorst wkoło doktora niema; cztery okręgowe szpitale zamknięte! I ty też od nas uciekasz! Ot, bieda... Wyrozumienie miej... Ciemny my naród, — nie od razu nam zrozumieć, kto praw, a kto przeciw prawu. Czasu na to trzeba... Zrozumieliby wszyscy, za tobąby stanęli. Felczer nie wieczny“.

— „Nie, nie zostanę, nie mogę! Ja obcy, nie ruski, i siły targać dla was — żadnego nie mam obowiązku.“

— „Juści racja!... Hm... Do Łosichy się przenieś, do nas... Ciosowy dom ci damy na mieszkanie, na aptekę pieniądze i chleba ci u nas nie braknie. U nas naród nie prawosławny, w Boga wierzy, wódki nie pije; z kozaków też u nas we wsi niema ni jednego.“

— „Nic z tego nie będzie. Łosicha przecież do krasnojarskiego okręgu należy i felczer i tamby mi zatruwał życie. Zresztą postanowienia zmienić już nie mogę.“

— Ech, Boże, ot bieda jaka! Szkoda nam ciebie wielka. Z uczonych widać jesteś i prostego narodu ci nie zrozumieć. Z Bogiem zostawaj!...“

## V. RASKOLNICY POD AŁTAJEM

Mieszkając w czasie Wielkiej Wojny i rosyjskiej niewoli przez rok z górą w Stepowym Kraju pod Ałtajem, miałem sposobność poznania rosyjskich sekciarzy, którzy tworzą tam, podobnie jak i nad Amurem, na Dalekim Wschodzie, liczne i zwarte grupy ludności, akcentujące aż do ostatnich czasów bardzo dobitnie swą odrębność od wyznawców innych obrządków, a przede wszystkim od obrządku prawosławnego.

Różnią się też raskolnicy rzeczywiście i znacznie od swych prawosławnych rodaków nie tylko religijnym obrządkiem, ale także charakterem i całym sposobem życia, odbijającym się tak na ich wyglądzie jak i na fizjognomji ich osad — raskolniczych wsi.

Wyznać winienem z góry, że wrażenia, które podałałajskim raskolnikom mam do zawdzięczenia, były tak nieoczekiwane, nowe i dodatnie, iż wspomnienie ich należy do najmilszych i zarazem najtrwalszych, które mi moja włóczęga po Azji i Syberji w pamięci pozostawiła.

Z dwiema zetknąłem się w Stepowym Kraju sektami: z „mołokanami“<sup>1)</sup> i „starowierami“, zwanymi też „staroobrzędowcami“ lub „raskolnikami“.

Z „mołokanami“ zapoznałem się tylko przelotnie, bawiąc przez czas krótki na t. zw. Katkowskim Stepie u podnóża Ałtaju, w najbardziej na południe wysuniętej części Stepowego Kraju. Mołokanie posiadali tam znaczne obszary doskonałej ziemi i zaliczali się, dzięki postępowej i prawidłowej gospodarce, do najzamożniejszych ludzi w kraju. Byli to w całym tego słowa znaczeniu bogacze, kapitaliści, sławni z hodowli rasowego bydła i długoszerstnych szwedzkich owiec, z amerykańskich maszyn parowych i najszlachetniejszych odmian zbóż i jarzyn. Zniszczyło ich po wybuchu rewolucji okoliczne ciemne i zazdrosne chłopstwo prawosławne, zwłaszcza nowi osiedleńcy, czyli t. zw. nowosioły, którzy napadali na ich zasobne, okazałe dwory i folwarki, niszczyli maszyny i plony, grabili rasowy dobytek. W momencie, w którym bawiłem na Katkowskim Stepie, z końcem lata r. 1918, ślady dokonanego pogromu mołokańskich gospodarstw widne były wszędzie: spalone lub rozwalone i opuszczone ich osady, domy i budynki gospodarskie w stepie, a wokoło rozwalin i pogorzeliśk walające się szczątki połamanych sprzętów, maszyn i narzędzi gospodarczych; odłogiem leżały pola, a niepokoszone potrawy w stepie paliło słońce.

Jeden z mołokanów opowiadał mi ze łzami w oczach o ciężkich chwilach, które przeżył, opisywał, jak głęboko zakorzeniona niechęć, mająca za tło przeciwieństwa głównie wyznaniowe, zniszczyła w ciągu kilku tygodni rezultat wytrwałego i umiejętnego trudu paru pokoleń...

Wielce prosty i liberalny charakter obrządku sekty mołokanów, na rozumie oparty stosunek do świata, niezaprzeczalna ich inteligencja i wolnomyślność, absolutny brak wszelkich objawów fanatyzmu religijnego i widoczna niechęć do demonstracyjnych oznak pobożności — uderzyć musi odrazu w oczy każdego, kto miał z nimi kiedykolwiek w życiu do czynienia. Nie wchodząc w treść ich obrządku, który znam zresztą powierzchownie, porównałbym go jednak ze względu właśnie na ten brak skłonności do zewnętrznego manifestowania uczuć religijnych, z postępowymi, racjonalistycznymi kierunkami wśród Reformacji europejskiej.

Innym jest przeciętny typ raskolnika. Mniej inteligentny, surowy fanatyk — nie rozumuje, lecz jest silnie do tradycji przywiązany,

<sup>1)</sup> Mołokanie — nazwa pochodząca od „mołoko“ czyli mleko, którą nadano mołokanom dlatego, że podczas Wielkiego Postu używają mleka, od którego się prawosławni wstrzymują.

głęboko wierzący i zazwyczaj nietolerancki w stosunku do innowierców. Dla mołokanina każdy innowierca, byle uczciwy człowiek jest godnym jego szacunku i przyjaźni. Dla prawowiernego starego raskolnika wyznawca innej wiary — a zwłaszcza prawosławnego obrządku, — jest człowiekiem „nieczystym“, któremu on wprawdzie chwilowej gościnności nie odmówi, ale uczyni to wyłącznie z konieczności lub chrześcijańskiego miłosierdzia. Stałych jednak stosunków z „nieczystym“ prawowierny raskolnik unika, w związku przyjacielskie z nim zwykle nie wchodzi, a przyjmując „nieczystego“ w swym domu, ugości go z naczyń, którego sam już nigdy nie dotknie i raczej na śmietnik wyrzuci, niżli skala niem kiedykolwiek swe własne usta lub pozwoli skalać się użyciem zanieczyszczonego w ten sposób sprzętu komukolwiek z rodziny.

Bywałem często u pewnego starego raskolnika we wsi Łosicha, w którego domu mieściła się „stacja ziemska“<sup>1)</sup>, syn zaś jego jeździł jako „ziemski jamszczyk“<sup>2)</sup>. Był to rozumny starzec, po starowierSKU gościnny. Od pierwszych dni naszej znajomości objawiał ku mnie wiele sympatji, starał się przy każdej sposobności zatrzymać mnie u siebie jak najdłużej, lubiał gawędzić ze mną i uguszczał mnie zawsze bez końca. A jednak jadło podawano mi tam zawsze na osobnych „nieczystych“ naczyniach, dobywanych z osobnej, zamkniętej szafki, herbatę dla mnie nalewano do „nieczystej“ szklanki i na noc zaścielano dla mnie „nieczyste“ łóżko „nieczystą“ pościelą, przeznaczoną już z góry i wyłącznie dla nocujących czasem w domu „nieczystych sług antychrysta“...

Raskolnicy nie używają tytoniu, a palących go nazywają „tabacznikami“. Każdy też, pijący wódkę, choćby jak najbardziej umiarkowanie, jest w ich pojęciu „pijanica“, pracującym na swe potępienie wieczne... Nie byłbym też nigdy ośmielił się zapalić papierosa w domu starego Charłama Pluśnina, lecz dla wypalenia go wychodziłem z izby na ganek lub dziedziniec, bez względu na porę roku i pogodę.

Może to i śmieszny, a nawet niemiły objaw religijnego fanatyzmu, lecz właśnie dzięki temu, tak ściśle przestrzeganiem separatyzmowi sekciarskiemu, zachowali raskolnicy w ciągu trzech stuleci swą czystość moralną i swe zdrowie fizyczne, podobnie, jak te same również przyczyny utrzymały do dziś odrębny charakter narodowy żydów w ciągu dwóch tysięcy lat tułaczki...

\*

<sup>1)</sup> Stacja ziemska — pokój gościnny po wsiach syberyjskich dla przejezdnych, utrzymywany przez ziemstwo.

<sup>2)</sup> Jamszczyk ziemski — właściciel koni, wynajmujący je na użytek ziemskiej poczty.

Znaną jest już dziś w Europie skłonność rosyjskiego ludu do sekciarstwa religijnego, — dzięki przekładom powieści Leskowa i Mielnikowa-Pieczerskiego. Źródło tej skłonności tkwi głęboko w charakterze ludu, który urabiały wieki niewoli i niedoli, knut carski i pański, i dla którego jedyną ucieczką od ciężkiej rzeczywistości był nadziemski świat mistyki religijnej, świat, przeniknięty bez wątpienia wpływami kultur religijnych Wschodu.

Ten nawskróś religijno-etyczny i marzycielski charakter rosyjskiego ludu ukształtował się w głębokiej przeszłości i objawiał się właśnie w skłonności do roztrząsania jak najzawilszych nawet problemów religijnych, do objaśniania sobie po swojemu bibliji i ewangelji, wbrew Kościołowi urzędowemu, oficjalnemu Kościołowi ciemności i ich wiernych sług — ciemnych popów. Był to zarazem jedyny do ostatnich lat protest udręczonego, a łagodnego z natury ludu przeciwko sprawcom jego niedoli... Do szybkiego rozpowszechniania się tego interesującego zjawiska po rozległych przestrzeniach rosyjskiego imperjum przyczyniło się zupełne skostnienie urzędowego prawosławia w czysto zewnętrznych, martwych formach, obrzędach i przepisach rytualnych, oraz gruba ciemnota masy prawosławnego kleru. O poziomie umysłowym tego kleru świadczą dobitnie wieloletnie spory i dyskusje nad takimi kwestjami liturgicznymi, jak n. p. ile razy należy powtórzyć w pewnym momencie nabożeństwa „alleluja“, czy w czasie nabożeństwa powinien kapłan chodzić za słońcem, czy przeciw słońcu itp. W sporach tych brało udział najwyższe duchowieństwo, a nawet carowie!

Teologiczne książki, tłómaczone z języków greckiego i bułgarskiego na starocerkiewny słowiański, przepisywane następnie lub tłócone przez niewykształconych skrybów i drukarzy, roiły się od błędów, paczących pierwotny sens obrzędów, a nawet dogmatów. Przy ustalaniu zaś i komentowaniu tekstów powstawały znaczne różnice zdań i spory, które stwarzały grunt pod szyzmę. W ten sposób tworzyło się w XV. i XVII. wieku rosyjskie sekciarstwo, które, przy tradycyjnej skłonności do włóczęgostwa bezrolnego rosyjskiego ludu, szerzyło się jak epidemia po olbrzymich przestrzeniach państwa.

Samodzierżawny rząd rosyjski, który z oficjalnej cerkwi uczynił był sobie powolne narzędzie swej policyjno-żandarmskiej polityki, wystąpił już w XVII. wieku przeciwko sekciarzom z całą surowością; więził i karał chłostą, a nawet śmiercią upornych fanatyków. Prześladowania rządu nie tylko nie położyły kresu szerzeniu się sekciarstwa, ale rozbudziły wśród odstępców tem gorętszy fana-



tyzm i tem bardziej zawziętą niechęć do cerkwi oficjalnej. Sekciarze opuszczali całemi gromadami wsie i kryli się jużto po lasach i bezludnych kresach państwa, jużto przechodzili poza Ural na Syberję, osiedlając się tam na obszarach jaknajbardziej od głównego traktu i od żandarmskich oczów i uszu odległych. W ten to sposób zaludnili oni stosunkowo wcześniej i gęsto, zwartemi grupami, kirgiskie stepy pod Altajem, płaskowyż Zabajkalski, żyzne ziemie nad brzegami rzek Amura i Ussuri na Dalekim Wschodzie.

Głównym dogmatem religijnym raskolników czyli starowierów, zwanych też staroobrzędowcami, jest wiara, że prawdę zawierają tylko stare księgi, których nie tknęły ręce nowoczesnych prawosławnych teologów, że prawdziwe są tylko stare „ikony“<sup>1)</sup>, malowane nie przez współczesnych prawosławnych ikonografów, dalej, że żegnać należy się dwoma palcami i że zmiany, poczynione w starych świętych księgach i wizerunkach, jak i w obrzędach prawosławnego rytuału, są „dziełem antychrysta i łacińską herezją“. I dlatego to przewodnicy duchowni sekty zabraniają surowo wyznawcom nie tylko chrzcić w prawosławnych cerkwiach nowourodzonych, zawierać śluby i przyjmować sakramenta, ale nawet wzbraniają modlić się i wogóle uczęszczać do prawosławnych cerkwi. Głównem źródłem prawdy teologicznej jest tak dla raskolników, jak i mołokanów, Biblia Starego i Nowego Testamentu. Mołokanie odrzucają wszelkie komentarze i postanowienia soborów, oraz wszelkie dowodzenia Ojców Kościoła. Tak jedna, jak i druga sekta religijna nie uznaje żadnej hierarchji kościelnej. Każdy enotliwy i wierny wyznawca powołany jest do wykonywania rytuału, bardzo zresztą ograniczonego i prostego. Stałem i niezmiennem nabożeństwem sekty jest czytanie ewangelji i śpiew psalmów. Nabożeństwo odbywa się w pierwszej lepszej izbie w domu jednego z wyznawców lub w domu modlitwy, w którym całem urządzeniem jest prosty biały stół, kilka ławek i stołków. Stół obsiadają starzy, każdy z biblią przed sobą. Młodzież i kobiety zasiadają na ławach poza starszyzną, mężczyźni po prawej, kobiety po lewej stronie. Obrzęd ślubu i pogrzebu ogranicza się również tylko do odczytania odpowiedniego ustępu z biblii i odśpiewania psalmu. W bardziej uroczyste święta następuje po nabożeństwie wspólna biesiada. Wyznawcom sekty nie wolno używać alkoholu, ani tytoniu, nie wolno grać w gry hazardowe ani oddawać się rozpuście — pod grozą wyświecenia z sekty i utraty zbawienia.

<sup>1)</sup> „Ikony“ — święte obrazy, malowane przeważnie na desce przez zawodowych ikonografów.

Prześladowaniom raskolników ze strony rządu położył kres dopiero rok 1905. Trzywiekowem gnębieniem sam rząd rosyjski wykopał przepaść pomiędzy wyznawcami prawowiernej cerkwi prawosławnej a raskolnikami, przepaść, która ich po dzisiejszy dzień rozdziela. Separatyzm ten był równocześnie zapewne samoobroną sekciarzy; pozwolił im on przetrwać ciężkie czasy i zachować w całej czystości swe wierzenia i tę wielką siłę moralną, którą się do ostatnich czasów odznaczeni. Raskolnicy są bezwzględnie uczciwi, niezwykle miłośni, gościnni i uczynni, prości, czysti w obyczajach, w stroju, w życiu codziennem. Ich miłosierdzie nie ogranicza się wyłącznie do biednych współwyznawców, ale ma wszelkie cechy miłosierdzia szczerze chrześcijańskiego.... Oni to wprowadzili na Syberję od niepamiętnych czasów przepiękny obyczaj wystawiania na noc przed progiem chaty misek z jadem i chleba dla zgłodniałych podróżnych i nieszczęsnych zbiegów z katorg.

Dzięki tej czystości moralnej i nieuleganiu żadnym złym nałogom, dzięki wielkiej pracowitości i oszczędności, tworzyli mołokanie i raskolnicy do lat ostatnich najzamożniejszą część napływowej, rosyjskiej ludności na Syberji.

\*

Gdy po raz pierwszy przejeżdżałem przez wsie pod Altajem, zamieszkałe przez raskolników, zdumiony byłem i zachwycony ich niezwykle pięknym położeniem, które od razu budzi wrażenie, iż miejsce dla osady zostało troskliwie wybrane i obmyślane. Wsie te obsiadają zwykle stoki wzgórz, brzegi rzek lub wąwozów górskich i lubują się w sąsiedztwie lasu. Schludność ich jest bez zarzutu, a wielkość i wysokość chat, zbudowanych z potężnych zrębów modrzewia lub cedru, wesołe i piękne otoczenie, wyrażające się obfitością drzew i krzewów wokoło domów i wśród gospodarskich budynków, budzi w przejeźdźnym uczucie sympatji, a nawet podziwu dla mieszkańców. Piękny jest koloryt tych nietynkowanych i niebielonych chat w słoneczny jasny dzień zimowy: wśród niepokalanej białości usnieżonych wzgórz, w ostrem świetle słonecznym, barwa sosnowych i modrzewiowych ciosów — ciepła, jasnobrunatna, jak stary bursztyn — i gorąca, złocisto-czerwona ciosów cedrowych grają przy mocnych kontrastach światła i cienia akordem tonów mocnym, czystym i z głębokim błękitem nieba oraz srebrną smugą pióropuszków dymu, płynącego z kominów, przedziwnie szarmonizowanym. I nie sądzę, by się znalazł malarz, któryby tam zechciał przyrodę poprawiać!

Chaty raskolników zadziwiają obcego przybysza swą rozrzną wielkością i wysokością, to też odpowiedniejszym dla nich określeniem byłaby raczej nazwa „dwory“. Ale i nie dziwota! Wszak tuż za plecami tych raskolniczych wsi wznosi się potężny, dziewiczy Ałtaj, z nieprzebranymi skarbami sosnowych, cedrowych i modrzewiowych borów — puszczy! Rozmiarom zewnętrznym tych dworów i wewnętrznej schludności raskolniczego obejścia odpowiada też ilość i wielkość izb, ich czystość oraz poważne, celowe i solidne, nie pozabawione jednak barw wesołych, urządzenie wnętrza. Na parter wysokiego domu wiedzie wejście z boku po dziesiątku schodów i przez ganek prowadzi do dużej sieni. Pierwsza izba z sieni — na lewo — to obszerna kuchnia, służąca zarazem za jadalnię dla domowników. Blisko drzwi stoi duży, biały piec z okapem, z blachą i urządzeniem piekarskim; pod oknami bieli się stół nakryty obrusem; wokół niego białe, proste stołki; pod ścianą z obu boków stołu ławy lub drewniane kanapki z oparciem, nakryte wołokiem albo pasiastym samodziałem. Pod jedną z ścian stoi białe lakierowane, oszklony kredens, pełen błyszczącego naczyń. Podłoga lśni czystością, podobnie sprzęty i naczynia. Po prawej stronie sieni dwie lub trzy mniejsze izby, z których jedna gościnną, urządzoną zwykle z większą starannością, z podłogą lakierowaną i przykrytą samodzielnie sukniem, z sprzętami malowanymi, z firankami i kwiatami w doniczkach na oknach. Ilość izb mieszkalnych w domu zależy od ilości stada małżeńskich w rodzinie. Nierzadko domy bywają piętrowe, a wysokość izb na piętrze wcale nie ustępuje wymiarom parterowych. Dzięki dużym oknom wszędzie w domu jasno i wesoło, a wrażenie czystości udziela się tem silniej. Pod gankiem znajduje się wchód do izb, umieszczonych pod parterem, analogicznie do naszych suterren, o niskich, małych okienkach, przeznaczonych zwykle na składy, przeróżne schowki, mieszkania służby, zimowy przytułek dla cieląt i jagniąt itp.

\*

Raskolnicy to lud rostry, krzepki, zdrowy i niezwykle piękny. Tak smukłych i powabnych kobiet, tak krzepkich i urodziwych starców trudno byłoby w podobnie znacznej ilości spotkać gdziekolwiek indziej w świecie, — chyba wśród plemion pierwotnych, co nie zasmakowały jeszcze w takich zatrutych owocach cywilizacji Zachodu, jak wódka, tytoń, życie w bezpowietrznych i wilgotnych suterrenach wielkich miast. To zdrowie fizyczne i tę piękność zachowała raskolnikom po dzisiejszy dzień wielka siła moralna, z głębokiej i szczerej religijności płynąca, która pozwoliła im wytrwać

i wyjść zwycięsko z ciężkiej walki, jaką przez trzy prawie wieki z wrogim sobie rządem i niemniej wrogiem otoczeniem wieść musieli.

Smutnem jednak przy tem jest zjawisko, że z chwilą, gdy samodzierżawny rząd rosyjski przyznał im wreszcie zupełną swobodę wyznania <sup>1)</sup>, gdy dzięki moralnej i fizycznej czystości pradziadów raskolnicy wnukowie odziedziczyli po nich zdrowe ciało, zdrową duszę i piękną tradycję niezłomnej wiary, czystości moralnej i fizycznej, a w dodatku także pełne zapasów spichlerze, stodoły, obory i obszary doskonale uprawionej ziemi, wnukowie ci, t. j. najmłodsze pokolenie raskolników, poczynają się już coraz częściej odwracać od tradycji i przekazanych sobie cnót, szydzić z nich przy butelce, tytoniu i kartach, i naśladować maniery mieszczańskiej młodzieży na Zachodzie.

---

<sup>1)</sup> Ukaz tolerancyjny wydany w r. 1905.

TEGOŻ AUTORA:

- „Przez lądy i oceany“ — wyd. J. Czernecki, Kraków 1921.  
„Z ojczyzny Dżyngis-Chana“ („Legendy Azji“) — wyd. Współdz.  
Lud. Tow. wyd., Lwów 1921.  
„Wśród wyznawców Burchan-Buddhy“ (Szkice) — Przegląd Wsp. 1922.





Inst. Zool. PAN

Biblioteka

K-604